Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



„Łowiectwo", płaskorzeźba dłuta prof. Stanisława Rzeckiego, wykonana dla Pawilonu Polskiego na Wystawie Międzynarodowej w Brukseli.
Fot. E. Koch.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 16 (792) 1 CZERWCA 1935 R.



Na rozlewiskach Jasiołdy. Fot. M. G.

NOWA USTAWA ŁOWIECKA RZESZY NIEMIECKIEJ.

W dniu 1 kwietnia r. b. wprowadzoną została w życie na całym obszarze Rzeszy Niemieckiej nowa ustawa łowiecka z dn. 3 lipca 1934 r. Równocześnie uległy zawieszeniu wszystkie ustawy łowieckie krajowe, w tem i wprowadzona dopiero w styczniu r. ub. ustawa pruska. Zarządzenie to jest konsekwentnem realizowaniem naczelnej zasady Trzeciej Rzeszy — całkowitego ujednolicenia Rzeszy i zniesienia wszystkich odrębności poszczególnych krajów w zakresie administracji.

Pod względem układu zewnętrznego oraz treści większości artykułów ustawa niemiecka nie odbiega bardzo od naszego prawa łowieckiego z 1927 r., ale równocześnie wprowadza ona momenty nowe, które ze stanowiska korzyści dla łowiectwa uznać należy za posunięcia bardzo celowe i zasługujące na naśladowanie.

Do tego rodzaju inowacji należy przedewszystkiem stworzenie osobnej władzy łowieckiej, niezależnej od ogólnej władzy administracyjnej, ale obowiązanej do najściślejszej z nią współpracy, podobnie jak z organami zarządu leśnego oraz zorganizowanego stanu chłopskiego (Bauerschaft). I odwrotnie, wszystkie inne władze obowiązane są w sprawach dotyczących łowiectwa zwracać się o udział w ich rozstrzyganiu do władz łowieckich. Władzami temi są: Wielki łowczy Rzeszy (Reichsjägermeister), mianowany przez Kanclerza (obecnie p. Göring, premjer Prus), łowczowie krajowi (Landesjägermeister), mianowani dla głównych krajów Rzeszy przez Wielkiego łowczego, łowczowie dzielnicowi (Gaujägermeister), również mianowani przez Wielkiego łowczego, łowczowie powiatowi (Kreisjägermeister), mianowani przez łowczych dzielnicowych. Wszyscy łowczowie pełnią swoje obowiązki honorowo, są oni funkcjonarjuszami Związku Niemieckiego Myślistwa (Deutsche Jägerschaft), od którego otrzymują środki na pokrycie wydatków osobowych i rzeczowych swoich biur. Pośrednio łowczowie są urzędnikami państwowymi i podlegają ustawie o odpowiedzialności urzędników państwowych. Służbowo łowczy powiatowy podlega nadzorowi łowczego dzielnicowego, łowczy dzielnicowy—łowczemu krajowemu, ten ostatni—Wielkiemu łowczemu Rzeszy. Ponieważ przy mianowaniu łowczych powinna być brana pod uwagę przedewszystkiem fachowa znajomość łowiectwa, przeto przy Wielkim łowczym utworzono urząd kwalifikacyjny, który może kandydatów poddawać badaniu. Pozatem przy Wielkim łowczym istnieje Rada łowiecka Rzeszy, składająca się z łowczych dzielnicowych oraz z powołanych przez Wielkiego łowczego osób zaufanych, wśród których powinien znajdować się przedstawiciel ministerstwa wyżywienia oraz specjaliści z zakresu łowiectwa, kynologji, balistsyki, ochrony przyrody i t. p. Za zgodą Wielkiego łowczego mogą być powołane do życia dzielnicowe Rady łowieckie. Przeciwko orzeczeniom łowczego powiatowego służy odwołanie do łowczego dzielnicowego, przeciwko orzeczeniom tego ostatniego służy odwołanie do łowczego krajowego, a w braku jego — do W. łowczego Rzeszy.

Orzeczenie łowczego krajowego jest ostateczne. Każde odwołanie, uznane za bezpodstawne, podlega opłacie do 50 mk. Czynności policji łowieckiej pełnią powiatowe organy policyjne.

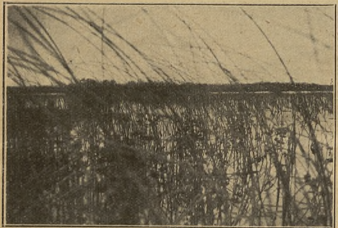
Drugą nowością tego samego charakteru jest zorganizowanie wszystkich myśliwych Rzeszy w jeden Związek Myślistwa Niemieckiego (Deutsche Jägerschaft), organizację prawno-publiczną, mającą za zadanie: „wychowywać członków swoich na prawidłowych myśliwych i zabiegać o to, by przejęty od przodków zwierzostan łowiecki przekazany został potomności bez uszczerbku ilościowego i gatunkowego". Członkami Związku są wszyscy posiadacze rocznych kart łowieckich krajowych, oprócz kart łowieckich dla młodzieży i dla polujących z sokołami. Stowarzyszenia o podobnych, lub takich samych celach, jak Związek Myślistwa Niemieckiego są niedopuszczalne i z dn. 1 kwietnia r. b. uległy rozwiązaniu, a członkowie ich stali się członkami Związku. Do obowiązków członków Związku należy:

a) przestrzeganie ustalonych powszechnie zasad prawidłowego myślistwa;

b) wspomaganie łowczych przy stosowaniu przez nich ustawy łowieckiej;

c) popieranie zadań Związku Niemieckiego Myślistwa i chronienie go od szkód;

d) sumienne pełnienie powierzonych sobie urzędów honorowych.



Wśród trzcin i kaczeńców. Fot. T. Śliwiński.

Związek Niemieckiego Myślistwa osiąga zlecone mu zadania, prowadząc czynności następujące:

a) nabywanie i uzyskiwanie urządzeń, służących celom naukowego i praktycznego łowiectwa oraz strzelnictwa;

b) prowadzenie we własnym zarządzie ubezpieczenia członków od odpowiedzialności cywilnej z tytułu wykonywania polowania, lub wejście w porozumienie z przedsiębiorstwami asekuracyjnemi;

c) utworzenie i prowadzenie ubezpieczalni dla straży łowieckiej i pozostałych po nich rodzin;

d) przedsiębranie wszelkich środków dla skutecznego zwalczania kłusownictwa;

e) utworzenie i prowadzenie zakładów, niezbędnych do kształcenia i ćwiczenia w zakresie łowieckim członków Związku.

Wydatki, związane z działalnością Związku, pokrywane są z wpływów, otrzymywanych za karty łowieckie, z których dwie piąte idą na rzecz Związku, a trzy piąte — na rzecz odnośnych krajów Rzeszy, względnie gmin.

Związek Myślistwa Niemieckiego wymaga od członków, aby chronili oni cześć myśliwską. Winnych jej naruszenia pociąga przed myśliwskie sądy honorowe, tworzone przy każdym łowczym dzielnicowym. Sądy te składają się z przewodniczącego i dwóch sędziów, mianowanych przez łowczego dzielnicowego z pomiędzy członków Związku. Czynność swą sędziowie pełnią honorowo, otrzymując jedynie przy wyjazdach zwrot kosztów podróży. Orzeczenia sądu, oparte na rozprawie stron i przesłuchaniu świadków, muszą być wyrażone na piśmie i mogą bądź stwierdzać brak winy, bądź nakładać kary pieniężne do 150 mk., lub do wysokości rocznej tenuty dzierżawnej za obwód łowiecki, bądź też nawet orzekać o odebraniu winnemu karty łowieckiej czasowo lub nazawsze, z równoczesnem usunięciem członka ze Związku. Dla swej prawomocności orzeczenie Sądu musi być zatwierdzone przez łowczego dzielnicowego, a w wypadku odebrania karty łowieckiej i usunięcia ze Związku — przez W. łowczego Rzeszy.

Przy tak dużych wymaganiach, stawianych w stosunku do swych członków, Związek musi mieć zapewniony wpływ na ich dobór. Wpływ ten został mu zastrzeżony w postępowaniu przy wydawaniu kart łowieckich. Karty łowieckie, których ustawa przewiduje 7 rodzajów (dla krajowców: roczne i jednorazowe i bezpłatne, dla cudzoziemców: roczne i jednorazowe, dla polujących z sokołami, dla młodzieży od lat 14 do 18), wydają miejscowe władze administracyjne pierwszej instancji na podstawie pisemnej opinji łowczych powiatowych, stwierdzających przynależność ubiegającego się do Związku, albo też brak przeszkód do przyjęcia go do Związku. Jeżeli kandydat dotąd karty łowieckiej nie posiadał, łowczy powiatowy poddaje go badaniu przez osobną komisję kwalifikacyjną, której sam przewodniczy, a w skład której wchodzą ponadto dwaj inni członkowie Związku. Badania mają charakter teoretyczny i praktyczny i obejmują stwierdzenie znajomości obchodzenia się z bronią, hodowli zwierzyny i ochrony przyrody, gatunków zwierzyny krajowej, ustawodawstwa łowieckiego, hodowli i tresury psa, handlowego zużytkowania zwierzyny. Ponadto dla otrzymania karty łowieckiej ubiegający się o nią powinien złożyć łowczemu powiatowemu dowód zaprenumerowania na okres roczny jednego z 3-ch pism, uznanych za organ Związku oraz zaświadczenie ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej w wysokości 150.000 mk. za szkody na osobie i 15.000 za szkody na majątku.

Za karty łowieckie krajowe roczne opłata stanowi 50 mk., za karty jednorazowe — 6 mk., zagraniczne roczne — 300 mk., jednorazowe — 60 mk., karty dla młodzieży (uprawnionej do polowania tylko w obecności instruktora) — 25 mk., dla polujących z sokołami — 6 mk. Dwie trzecie tych opłat idzie na rzecz Związku, reszta na rzecz krajów czy gmin. Właściciele kart łowieckich bepłatnych uiszczają na rzecz Związku opłatę 10 mk., względnie 5 mk., jeżeli są strażnikami łowieckimi lub gajowymi. Przy ilości 260 tys. myśliwych w Rzeszy i średniej opłacie 15 mk. Związek Myślistwa Niemieckiego otrzymuje rocznie z kart łowieckich około 4 miljonów marek.

Tak się przedstawia według nowej ustawy organizacja myślistwa niemieckiego. Przymus należenia wszystkich myśliwych do centralnego Związku, wraz z przyznaniem mu znacznych środków, czyni ze Związku organizację zwartą, liczebnie potężną, a finansowo bardzo zasobną. Uzależnienie uzyskania prawa wykonywania polowania od przychylnej opinji Związku, wprowadzenie przy Związku lokalnych komisyj badawczo-kwalifikacyjnych dla oceny fachowego uzdolnienia kandydatów, a sądów honorowych — dla ich oceny moralnej, zobowiązanie każdego członka do prenumerowania pism łowieckich — wszystko to świadczy o trosce nad podniesieniem poziomu fachowego i moralnego członków tej korporacji. Wreszcie stworzenie z kadr tegoż Związku samodzielnej władzy łowieckiej, niezależnej od administracji ogólnej, ale korzystającej z jej poparcia i pomocy, zapewnia sprawność funkcjonowania aparatu nadzorczego i wykonawczego, uzbrojonego w dostateczne pełnomocnictwa i sankcje.

Z innych działów nowego prawa łowieckiego Rzeszy

zasługują jeszcze na wymienienie pewne przepisy, dotyczące wykonywania polowania, oraz przepisy co do handlu zwierzyną, jako różniące się od naszych.

Nowa ustawa wprowadza obowiązek utrzymywania psa myśliwskiego w obwodach łowieckich o obszarze 500 ha i wyżej. W obwodach o obszarze 2500 ha i wyżej ze stanowiskami zwierzyny płowej i dzików, obowiązującem jest utrzymywanie tropowca, lub wyćwiczonego w dochodzeniu rannej zwierzyny innego psa myśliwskiego. Uznanie psa za łowiecko ułożonego może być według uznania łowczego dzielnicowego uwarunkowane wynikami prób polowych.

Zabrania się bezwzględnie używania żelaz i potrzasków, sideł, wnyków i samostrzałów, oraz trucia zwierzyny łownej. Dozwala się jedynie trucie wron i srok przy pomocy jaj, napełnianych fosforem, ale tylko w okresach, wyznaczanych przez łowczego powiatowego dla całej danej miejscowości. Po upływie 3-ch dni jaja muszą być usuwane.

Gniazda i jaja zwierzyny skrzydlatej powinny być przez cały rok chronione. Uprawniony do polowania może jednak niszczyć gniazda i jaja następujących szkodników: gołębiarza *(astur palumbarius)*, krogulca *(astur nisus)*, błotniaka trzcinowego *(circus aeruginosus)*, łyski *(fulica atra)*, perkoza czubatego *(podiceps cristatus)* i czapli *(ardea cinerea)*.

Odstrzał zwierzyny płowej może być dokonywany tylko na podstawie planu, zatwierdzonego przez łowczego powiatowego na okres 3-letni. Każdą ubitą sztukę odnotowuje się w osobnej liście, przesyłanej następnie łowczemu.

Terminy polowań na zwierzynę łowną, ustalone w nowej ustawie niemieckiej, przedstawiają się w porównaniu z terminami, przewidzianemi naszem prawem łowieckiem (wraz ze zmianami ostatniemi) w sposób następujący:

	WEDŁUG USTAWY Niemieckiej	WEDŁUG USTAWY Polskiej
łosie byki	od 1 do 30 września	od 1 do 30 września
łosie samice i cielęta	od 1 do 31 października	—
jelenie byki	od 1 sierpnia do 31 stycznia	od 1 września do 31 października
jelenie--sika i daniele rogacze	od 1 września do 31 stycznia	od 1 września do 31 października
samice i cielęta danieli i sika	od 16 września do 31 grudnia	—
muflony samce	od 1 sierpnia do 31 stycznia	—
muflony samice i jagnięta	od 16 października do 31 stycznia	—
sarny kozły	od 1 czerwca do 15 października	od 16 maja do 31 stycznia
sarny kozy i koźlęta	od 16 września do 31 grudnia	—
kozice	od 1 sierpnia do 30 listopada	—
świstaki	od 16 sierpnia do 31 października	
zające i bielaki	od 1 października do 15 stycznia	od 16 października do 31 stycznia
foki	od 16 lipca do 28 lutego	—
borsuki	od 1 sierpnia do 31 grudnia	od 1 września do 30 listopada
łasice	od 1 grudnia do 31 stycznia	przez cały rok
głuszce koguty,	od 1 kwietnia do 15 maja	od 16 marca do 14 maja
cietrzewie koguty	od 1 kwietnia do 15 maja	od 16 sierpnia do 30 maja
jarząbki i pardwy	od 1 września do 30 listopada	od 16 sierpnia do 31 stycznia
kuropatwy	od 25 sierpnia do 30 listopada	od 1 września do 30 listopada
bażanty	od 1 października do 15 stycznia	od 16 października do 31 stycznia
dzikie gołębie	od 1 sierpnia do 15 kwietnia	od 16 sierpnia do 31 stycznia
słonki	od 1 września do 15 kwietnia	od 16 sierpnia do 14 maja
kszyki, dubelty i bekasiki	od 1 sierpnia do 15 kwietnia	od 16 lipca do 31 grudnia
dropie koguty	od 1 do 30 kwietnia	—
dzikie gęsi	od 16 lipca do 31 marca	od 1 sierpnia do 14 maja
dzikie kaczki	od 16 lipca do 31 grudnia	od 16 lipca do 31 grudnia
myszołowy, włochacze północne i mewy	od 1 września do 31 marca	od 16 sierpnia do 31 stycznia

Cały rok można polować na króliki, dziki, lisy i tchórze; w czasie jednak od 16 marca do 1 sierpnia samice przy małych ostatnich trzech gatunków zwierzyny nie mogą być strzelane. Cały rok polować można również na gołębiarże, krogulce, błotniaki, czaple, łyski i perkozy. Niewymienione gatunki zwierzyny łownej podlegają ochronie przez cały rok. Psy, włóczące się po obwodzie łowieckim, bez właściciela, oraz koty, spotykane w odległości powyżej 200 m. od najbliższego domu mieszkalnego, mogą być przez uprawnionego do polowania zabijane.

Przekroczenia przepisów ustawy są karane więzieniem, aresztem, lub grzywną do wysokości 150 mk. W wypadkach ważniejszych przekroczeń ze strony członków Związku władze, uprawnione do postępowania karnego, przesyłają akty spraw łowczym powiatowym dla rozważenia ich przez sąd łowiecki honorowy.

Do ochrony łowiectwa, obok organów policji i służby bezpieczeństwa, powołane są osoby uprawnione do polowania, które mogą to zadanie zlecać specjalnym nadzorcom łowieckim, zatwierdzonym przez władze administracyjne pierwszej instancji. Nadzorcy łowieccy posiadają w zakresie swego działania prawa i obowiązki funkcjonarjuszów policji i służby bezpieczeństwa, oraz pełnią służbę pomocniczą wobec prokuratury. Pozatem dla ochrony łowiectwa mogą być wyznaczani zawodowi gajowi (Berufsjager), których przygotowanie fachowe stwierdzone jest przez osobne komisje łowczych powiatowych.

Handel i przewóz zwierzyny płowej poza granicami obwodu łowieckiego może być dokonywany tylko przy świadectwach pochodzenia, które wydaje uprawnionym do polowania łowczy powiatowy. Dla zwierzyny importowanej z zagranicy świadectwa pochodzenia wystawia graniczny urząd policyjny. Handlarze zwierzyną obowiązani są do prowadzenia osobnych ksiąg handlowych, w których odnotowywany jest czas nabycia i rodzaj zwierzyny, nazwisko i adres uprawnionego do polowania, okręg łowiecki, numer świadectwa pochodzenia i t. p. Książki te powinny być na żądanie przedstawione łowczemu powiatowemu, lub władzom policyjnym. Zwierzyna, dla obrotu której nie wymagane jest świadectwo pochodzenia, może być przewożona i wystawiana na sprzedaż tylko w ciągu dni 14 od chwili zamknięcia na nią polowania.

J. GIEYSZTOR.

TRUBADUR LEŚNY.

Głucha, kwietniowa noc panowała nad ciemnym borem, okrytym kopułą wygwieżdżonego nieba.

Roześmiana twarz, chylącego się ku zachodowi księżyca, zaglądała ciekawie w leśne gąszcze, rzucając zimne blaski na skrzepłe kałuże wiosennych roztopów, błyskających tu i owdzie wśród mchów i zeschłych jagodzin, srebrzyła nagie strzały niebotycznych sosen i mrugała chytrze nad większemi skupieniami gałęzi, kryjącemi niezbadane dlań tajniki nocnego życia lasu.

Najlżejszy wietrzyk nie poruszał wierzchołkami drzew, drzemiących w majestatycznej ciszy, którą zrzadka przerywały ledwie że dosłyszalne odgłosy, świadczące, iż nie wszyscy tutejsi mieszkańcy oddają się spoczynkowi. To żerujący dzik zaszeleścił leżącemi wkoło starych dębów liśćmi, wyszukując pod niemi zeszłorocznych żołędzi, to szarak przemknął trwożnie w ucieczce przed lisem, to znów słychać było pisk goniących się myszy.



Ciężko wypracowany... Photo-Plat.

Strop nieba począł blednąc. Gwiazdy gasły powoli, a księżyc zbliżał się do horyzontu. Od wschodu wypełzła jasna smuga i rozlała się szeroko, zwiastując bliskość przebudzenia się dnia.

Wówczas do subtelnych dźwięków drzemiącego boru wdarł się jakiś nowy, zrazu trudny do rozpoznania, odgłos. Coraz wyraźniej zaczęło się rozlegać echo stukających o korzenie kół. Do lasu wjechała bryczka, wiozącą dwie ludzkie sylwetki. Para koni szła szparko, parskając od czasu do czasu. Kopyta dudniły głucho na leśnej dróżce.

I zdziwił się bór tak wczesnej i niespodziewanej wizycie. Żerujący zwierz przystanął nagle, a zjechany zbyt blisko, czmychać począł w gąszcze. Kilka płochliwych sarn, przeskoczywszy drogę, pomknęło chyżo przed siebie, łamiąc drobne gałązki.

Bryczka minęła tymczasem stary, wysoki las, wpadła na piaszczystą dróżkę, wijącą się przez zagajniki i po pewnym czasie zatrzymała się nad brzegiem młodych kultur, wśród których rysowały się wyraźnie sylwetki pojedyńczych nasienników.

Z tylnego siedzenia podniósł się jeden z tajemniczych przybyszów i żwawo wyskoczył na ziemię. Był to dziedzic tutejszych włości, Zygmunt Barski.

Ktoby go bliżej nie znał, mógłby zapytać, czego też może szukać człowiek w lesie o tak niezwykłej porze. Wystarczy jednak objaśnić, że Barski był zamiłowanym myśliwym, a zrozumiemy, iż tylko pasja myśliwska mogła go sprowadzić do lasu po nocy. Bo też niezwykłe czekało tu nań polowanie. Straż leśna doniosła przed paroma dniami o rozpoczęciu toków cietrzewi. Jakże się miał oprzeć takiej pokusie? Co może znaczyć dla prawdziwego amatora emocyj myśliwskich wczesne wstanie, czy też nawet nieprzespana noc wobec spędzenia kilku godzin na podpatrywaniu miłosnych tajemnic budzącej się wiosny?

Zaledwie Barski stanął przy bryczce, zamajaczyła przed nim sylwetka gajowego, oczekującego przyjazdu dziedzica, by mu wskazać przygotowane zawczasu budki.

— Kłaniam się jaśnie panu — rzekł, salutując po wojskowemu.

— A, jak się macie — pozdrowił go Barski — no co, będą dzisiaj grały?

— Czemu nie mają grać? Wczoraj to się tu aż gotowało. A pogoda niczego — zapewniał gajowy z przejęciem.

— No to prowadźcie, bo się późno robi — zadecydował Barski, biorąc strzelbę na ramię.

Zanurzyli się obydwaj w cieniu lasu, który pochłonął ich w okamgnieniu. Przyzwyczajone do podobnych marszów nogi stąpały śmiało po dość nierównym gruncie, omijały wystające korzenie, niezasypane doły po wykopanych karpach, a także i jasne plamy pozostałego tu i owdzie śniegu, mogące skrzypieniem zdradzić zjawienie się intruzów. Tylko ktoś tak dobrze obyty z lasem, jak Barski, mógł sobie pozwolić na pewny, a zarazem cichy chód w podobnych warunkach.

Po kilkunastu minutach marszu, połączonego miejscami z przedzieraniem się przez bardziej zwarte partje zagajników, wydostali się obydwaj na luźniejszą przestrzeń. Stopy grzęzły teraz w szorstkim dywanie wrzosów. W pewnej chwili gajowy zatrzymał się, ukazując dziedzicowi ciemny otwór wykopanego dołka, okolony wachlarzem gałęzi i starych traw.

— Przy tej budce najlepiej grają — objaśniał szeptem prawie do ucha Barskiemu — może jaśnie pan tu sprobuje, a ja tymczasem posłucham w innej.

Barski skinął głową na znak zgody. Zsunął się ostrożnie do owego dołka, budką zwanego, zajął w nim możliwie wygodną pozycję i, oczekując rozpoczęcia toków, zamienił się cały w słuch.

Noc ustępowała powoli. Przez otaczające budkę gałęzie rysować się poczęło otoczenie. Cisza panowała narazie zupełna.

Dopiero po pewnym czasie odezwało się krakanie wrony. Z odległych łąk doszły głosy czajek i bekasów. Nad samą głową myśliwego coś zaświstało i kilka drobnych cieni śmignęło w powietrzu, pokwakując zrzadka.

Zygmunt łowił skrzętnie te wszystkie dźwięki, orjentując się w nich doskonale. Nie miał tu tajemnic. Znał las i jego życie we wszystkich porach dnia i roku. Kochał naturę we wszelkich jej przejawach, a kochał przedewszystkiem dlatego, że rozumiał ją doskonale i żal mu było tych, którzy nie umieli podobnie cieszyć się obcowaniem z nią.

Myśląc o tem, wyczekiwał jednocześnie pierwszego głosu cietrzewia.

Usłyszał go wreszcie. Z odległego lasu, ciemniejącego na widnokręgu, doszło uszu Barskiego charakterystyczne czuszykanie, jedno, potem drugie i znów nastąpiła pauza. Myśliwemu zrobiło się raźniej. Pełen emocji, zdwoił uwagę.

Wtem tuż nad budką przesunęła się ciemna sylwetka sporego ptaka, który zapadł opodal z głośnym łopotem skrzydeł.

— Oho, jest — pomyślał Barski.

Znów coś załopotało, tym razem nieco dalej. Koguty zlatywały na tokowisko.

— Tsziu — chszi — rozległo się tak niedaleko, że Zygmunta aż podrzuciło.

Głos ten powtórzył się kilka razy, odpowiedziały mu podobne i niemal zaraz popłynęła miłosna pieśń cietrzewi, rozsiadłych po całej polanie.

Coś niby gruchanie gołębi, niby gulgotanie indyków, a jednocześnie rytmiczne i melodyjne.

Barski uniósł się nieco i począł wypatrywać koguta, który tymczasem rozśpiewał się na dobre. Wprawne oko myśliwego dojrzało wnet ciemną plamę, poruszającą się po ziemi w różnych kierunkach. Przyglądał się śpiewakowi z zapartym tchem i, choć mógł już od biedy strzelić, wolał nasłuchać się przedtem pieśni.

Wstający dzień rozjaśniał stopniowo świat i wszystko, co się wkoło działo. Tokujący kogut sunął po ziemi z napuszonemi skrzydłami i rozpostartą lirą, bulgocząc zapamiętale. Co pewien czas podfruwał z łopotem, czuszykając głośno, jakby wyzywając rywali do walki. Podfrunął wreszcie tak blisko budki, iż zdało się, że jeszcze chwila, a wpadnie do środka.

Zygmunt odruchowo schwycił leżącą na kolanach strzelbę i, korzystając z momentu, gdy cietrzew w następnem podfrunięciu oddalił się nieco, wysunął ostrożnie lufy przez gałęzie.

Padł strzał, a jego gromkie echo uderzyło po lesie hen w dal, tocząc się po drzewach, aż rozpełzło się po horyzoncie.

Krótki łopot skrzydeł i wszystko raptem ucichło.

— Leży — odezwał się myśliwy do siebie.

Przerwany na chwilę ludzkim dyssonansem koncert wiosennych śpiewaków rozpoczął się na nowo.

Zadowolony ze strzału Barski lustrował teraz całe tokowisko, które, wobec zbliżającego się coraz bardziej wschodu słońca, wydostało się całkowicie z mroków nocy. Budka znajdowała się na środku rozległej polany, porośniętej wrzosem, rzadką i małą sośniną. Pośrodku sterczało kilka kęp wyższej nieco brzeziny, a nad wszystkiem górowało parę samotnych, matecznych sosen. Na dalszym planie widniały dobre, równe i zwarte zagaje, przechodzące amfiteatralnie w ciemną ścianę starego lasu. Ściana ta biegła równą linją ku dalekiej perspektywie łąk i pól, nad któremi zapalała się coraz wyraźniej zorza poranna.

Powietrze ochłodziło się znacznie i ziąb jął nie na żarty przenikać Barskiego, wdychającego z rozkoszą całą krasę budzącego się poranku.

Jeden z cietrzewi zaczął grać znów tak blisko, że zwrócił na siebie uwagę myśliwego. Kilka cieciorek z gdakaniem przeleciało opodal. Zasiadły na brzózkach, jakby dla lepszego pokazania się konkurentom, roztokowanym na polanie. Niektóre z kogutów przysuwały się coraz bliżej do siebie i, tocząc skrzydłami po ziemi, wyciągały szyje ku przeciwnikom.

Choć Zygmunt nieraz już obserwował podobne sceny wiosennych konkurów, zawsze patrzył na nie z największą przyjemnością, podziwiając jednego z najpiękniejszych przedstawicieli naszej leśnej avifauny. Lśniąco-czarne z granatowym odcieniem upierzenie, napuszona szyja, zakończona czarną niemal głową o jaskrawo-czerwonych plamach nad oczami, błyski białych piór na skrzydłach i z pod rozpostartej liry, wszystko to tworzyło miłą dla oka grę barw i odbijało wybitnie od szarzyzny nierozbudzonej jeszcze do życia flory.

Raptem świat rozbłysnął jakimś nowym, mocnym blaskiem. Zaczerwieniły się wierzchołki drzew i na horyzoncie zajaśniało słońce, odbite miljonami iskier w kropelkach rosy. Wszystko ucichło na chwilę, by tą chwilą milczenia oddać niejako chwałę Stwórcy za narodziny nowego dnia. Ucichło, lecz wkrótce ze zdwojoną, zda się, śpiewało energją.

Na jedną z sosen spłynął majestatycznym lotem bociek. Usadowił się na niej i, zadzierając w górę długi dziób, zaklekotał wesoło. Wyglądał, jak dyrygent orkiestry, wymachujący batutą nad głowami muzykantów.

A tych muzykantów przybywało coraz więcej. Zagwizdały kosy, jastrząb gdzieś zakwilił raz i drugi. Wrony, kracząc, leciały na żer w pola, bąk buczał głucho na odległem błocie, a czajki zawodziły nad łąkami. Prym jednak trzymały wciąż roztokowane cietrzewie. Niektóre z nich podrywały się z ziemi, siadając na czubkach sosen, by ciągnąć tam dalej swą pieśń miłości.



Dziś dobrze grały... Fot. M. G.

Barski, widząc, że tok ma się już ku końcowi, zabił jeszcze jednego koguta, który podsunął się akurat niezbyt daleko budki i, zadowolony z rezultatu pierwszego w sezonie polowania, opuścił swe stanowisko, by udać się do oczekujących koni.

Jechał do domu, upojony wrażeniami, których nawet niedospanie i idące za niem pewne zmęczenie fizyczne nie było w stanie zagłuszyć. Mimowoli porównywał siebie z pierwszym lepszym człowiekiem, wracającym o podobnej godzinie po całonocnej hulance, czy też nawet ślęczeniu nad zielonym stolikiem. Toć i sam nieraz znajdował się w podobnej sytuacji.

Tu ze zmęczeniem w parze szła rzeźkość fizyczna, jasność umysłu i zadowolenie z życia, tam — przeważnie apatja, często ból głowy, a zawsze najwyższe pragnienie dostania się czemprędzej do łóżka.

Pod wpływem tych porównań dziękował w myśli Bogu, że danem mu jest obcować z naturą i korzystać z czarów jej tajemnego życia. Przyszło mu jednocześnie do głowy usłyszane gdzieś zdanie:

„Ludzie, nieznający piękna przyrody, są, jak dzieci, nieznające matki".

Może nigdy nie wydało mu się to tak trafne, jak w tej chwili.

KONSTANTY KOMIEROWSKI

DNIE I NOCE NA POLESIU.

Zaopatrzony w przemiłe zaproszenie Państwa A., właścicieli sporych obszarów nad Mereczanką, poprosiłem o parodniowy urlop, by uraczyć się poleskiem przedwiośniem i jego darami. Po nocy spędzonej w pociągu i, zabrawszy po drodze przyjaciela, znalazłem się nad ranem w Antonówce. Kolejka wąskotorowa wyrzuciła nas, po czterogodzinnej jeździe przez zatopione wiosennemi zalewami lasy i mszary, na małej stacyjce Borowa. Czekał na nas wózek poleski. Jeden koń w hołobli, drugi na przyprzążkę — doczepiony wprost do drabiny wozu. Ładujemy się szybko i po kilkunastu minutach mamy nad sobą błękit nieba, w koło rojsty, zalane łąki i lasy nieznanego kraju.

Poza sobą zostawiliśmy wszystkie nędze (tych więcej) i wszystkie blaski kultury i życia, wprzęgniętego w codzienny trud nerwowej pogoni; przed sobą mamy cztery dni i cztery noce w kraju, gdzie rządzi prawo kłów i szponów, gdzie więcej jest tajemnic, niż ludzi, gdzie zachowała się po dziś dzień staropolska gościnność, prosta i serdeczna. Mijamy sławne z bogactwa zwierza i polowań Perekale znanego na obu półkulach świata myśliwego, p. Ordy i zaszywamy się znowu w lasy. Rzadziej uprawne polanki, częściej wody wiosennych roztopów, urozmaicają krajobraz. Nierzadko mija nas szybki gołębiarz, czasami uda nam się przez lornetkę stwierdzić, że to rybołów ciężkim lotem płynie ponad swemi rewirami, usiądzie czasem na rozłożystym dębie nad wodą i zarysuje wyraźnie swą orlą sylwetkę.



Leśne jeziorko

Przed wieczorem dotarliśmy do celu. Jest nim stary, rzucony nad brzegiem bagnistej rzeczki i o ścianę lasu oparty dwór. Wita nas Pani A. Syn jej nie mógł przyjechać z Warszawy, zatrzymany tam sprawami osobistemi i majątku. Pokoje gościnne czekają. Herbata i raport — Franka. Ma on lat sześćdziesiąt, a od czterdziestu służy w tym samym lesie. Był przed czterdziestu laty Frankiem i pozostał nim do dziś. Gdy umrze, powiedzą na wsi: „Franek umarł".

Mówi, że cietrzewie jeszcze słabo grają, „głuszców ja pięć w niedzielę (jest czwartek) na Łojewie na zapadach naliczył, na Chwijczy gra ich kilka, ale tam bagno ogromne, w Studzionej też ich gra parę, ale i tam bagno wielkie".

A więc jedziemy na Łojewo. Przyjaciel mój i państwa A. nigdy jeszcze na głuszce nie polował. Chcę mu to pokazać i nauczyć go.

Powstaje tylko ten szkopuł, że głuszce niezasadzone zwieczora. Jest i drugi, mniejszy: przyjaciel mój, p. S. nie wie, jak wygląda *grande tenue* na taką wyprawę. Zabrał buty gumowe, sięgające nieco wyżej, niż pół łydek, ale Franek mówi, że w Łojewie grają na suchem i dlatego tam jedziemy.

Po północy siadamy na wózek, zaprzężony w jednego konia i — w drogę. W niespełna półtorej godziny jesteśmy na miejscu. Jest jeszcze czas. Pijemy herbatę z termosu i powoli ruszamy. Prowadzi nas Franek. Umówiłem się z nim, że zostawi nas obu w miejscu, gdzie w niedzielę zasadził głuszce, a sam pójdzie nieco dalej, by wrócić do nas, jeśli posłyszy głuszca, a u nas grać nie będzie. Nad bagnem, gdzie zrzadka rozrzucone rosną karłowate, a przecież wielowiekowe, bagienne sosny, pozostawił nas i wnet zamknęły się za nim mroki nocne. Powoli ścichły i jego kroki.

Czekamy. Już dawno przebrzmiał krzyk żórawi — daleki, rozgłośny. Przeciągnęły nad nami parokrotnie dzikie kaczki, potem kszyki zaczęły swe harce, pobekując od czasu do czasu. Na wschodzie niebo zaczęło wyraźnie blednąc. Zdawałem sobie sprawę, że straciliśmy ranek, a kiedy z bagien potoczył się ponad lasami bełkot cietrzewia, byłem już tego pewny. Wrócił także i Franek, zjawiając się przed nami znienacka. I on także nic nie słyszał. Postanawiamy wracać. Może uda się po drodze podejść na rozlewiskach kaczora. I ta jednak nadzieja również zawiodła.

Trzeba się będzie wziąć do sprawy inaczej, trzeba iść na zapady na Chwijczę.

Na bagnie czerwienieją ostatnie promienie słońca, potem już razem na niebie i na wodzie świeci krwawo czerwona łuna. W powietrzu rozgwar ptasi. Wtem niedaleko w kępę sosen zapadł łomot ogromnych skrzydeł. To głuszec przyleciał na tokowisko. Z kępy sosen rozległo się krektanie. To nie głuszec, to tylko kreklun. I znowu łomot na prawo, po chwili w tem samem miejscu drugi, wreszcie trzeci. Popłynęła pieśń jedna za drugą, bez przerw, prawie poranna pieśń w swej intensywności. Zapadł już prawie zupełny mrok, już oddawna ciągnęły pochrapując słonki, a stary gracz śpiewał, śląc ponad mszarami jedną pieśń za drugą.

Kilka godzin snu i w okno stuka już Franek. Ubieram się szybko i po chwili siedzę na wózku. Tym razem jadę sam, p. S. pozostał w domu, bo wczoraj zmarzł, bo wózek był niewygodny, bo droga fatalna; zresztą bolał go ząb. Wkrótce za wsią zaczynają się nieprawdopodobne wertepy. Jedziemy po pniach wykarczowanego lasu, poprzez brodki, gdzie koń zapada się po brzuch, poprzez bagna. Każda chwila niesie z sobą inną przeszkodę. Zaczynam się niepokoić i pytam Franka, czy daleko jeszcze. „Będzie 3 kilometry". Patrzę na zegarek: jest w pół do trzeciej. Decydujemy z Frankiem, że prędzej będzie pieszo. Zrzucam burkę — Defourny w garść i haida. Prowadzi Franek w takiem tempie, że, by mu dotrzymać kroku, muszę nadrabiać ambicją. Poprostu bierze mnie wstyd. A przecież jestem oficerem piechoty, majorem! Psiakrew!

O trzeciej jesteśmy na miejscu, więc chcę odsapnąć. Wtem mimo ujadania psów, któreśmy pobudzili, przechodząc obok niedalekiego futoru, słyszę wyraźnie pieśń głuszca. Wsłuchuję się lepiej. W absolutnej ciszy przedświtu nie mogę się mylić; wiem już, że najbliżej gra jakiś głuszec niezasadzony wczoraj, gra wczorajszy także, grają jeszcze trzy inne. Nabijam broń i zaczynam podchodzić, kiedy słyszę turkot jadącego wozu. Muszę wrócić, by zatrzymać naszego Romana i zaczynam pracę odnowa. Mam szczęście, bo głuszec gra bez przerwy. Jego sąsiedzi też. To nie jest jednakże szczęściem, że tyle ich wkoło. Mogę spłoszyć najbliższego sąsiada, zwłaszcza, że jest niedaleko...

A kiedy zdawało mi się, że nadszedł moment, by zacząć wypatrywać trubadura, zobaczyłem jego sylwetkę na tle nieba, na 15 kroków odemnie Zawsze robię ten sam błąd: podchodzę za blisko. Jest jednak ciemno jeszcze na strzał i postanawiam czekać. W parę minut później czuję, jak woda przecieka przez wierzch cholew, potem zaczynam zapadać się głębiej. Stoję już powyżej kolan w lodowatej wodzie i nogi zaczynają drętwieć, kiedy decyduję się na strzał, celując, by nie zepsuć wachlarza...

Podnoszę ciężko rannego ptaka i wracam, mimo że mam *carte blanche* co do ilości głuszców i mimo, że słyszę niedaleko tajemniczą pieśń mistycznego praptaka.

Nazbyt umiłowałem cię, puszczo poleska, i twoich mieszkańców, bym nie potrafił stłumić w sobie ambicji rekordu i nie uszanować twoich tajemnych obrzędów.

W dwa dni później byłem jeszcze raz na tem tokowisku, by na odjezdne zabrać z sobą czar pieśni, płynącej na rojsty i bagna. Wracając zdobyłem dwa cietrzewie, oba bardzo dalekie, zawdzięczając je dalekonośności starej Defourny. Pan S. był wtedy na tokowisku cietrzewi, nie dopisało mu jednak szczęście. Nie mieliśmy także szczęścia, jeżdżąc przez trzy dni na kaczory, bo zbyt wielkie jeszcze były rozlewiska, a nie mieliśmy krekuch. Wieczorami słonki ciągnęły wysoko i chybko. Było jeszcze zimno i wieczorami brał mróz.

Wywieźliśmy jednak z sobą niezatarte wrażenie i urzekła nas ziemia poleska. Dostojnej władarce tych stron, borykającej się w ciężkiej walce o utrzymanie gniazda rodzinnego, pozostającego od pięciu wieków w rękach jednej rodziny, a najgościnniejszej i troskliwej Pani Domu na tem miejscu dank składam serdeczny.

STEFAN GÓRNISIEWICZ



Po wietrznym ranku — mało... Fot. T. Śliwiński.

OSTATNIE POLOWANIE.

C y t, n i e s p ł o s z y ć! — błagała wyciągnięta ku przodowi do granic możliwości i skamieniała na wrytych w ziemię nogach postawa wyżła na s t ó j c e. A prawa przednia zamarła psu w powietrzu i już nie spocznie na ziemi. Bo jasnem jest, że pół kroku pointera wystarczy, aby mu z przed nosa zerwała się natychmiast z szumem i łopotem lotna, pstra, pierzasta, skłębiona chmura.

Skąd? Stąd, gdzie teraz nie widać nic na szarem ściernisku, a gdzie czai się jednak upragnione stadko kuropatw; stąd, skąd uderzył przed sekundą w rozwarte nozdrza rasowego nosa „górny wiatr" i zaklął żywego psa w marmur.

Marmur to, czy pies żywy? Doprawdy łatwo uledz ułudzie. Nie, tym razem to marmur — uświadomiłem sobie, przyglądając się z upodobaniem statuetce wyżła na biurku.

Ale trzeba się ubierać. A nuż posłaniec wróci na czas z miasteczka i przywiezie zamówiony śrut? Wówczas zrobi się naboje i pójdzie na polowanie.

Posłaniec wrócił na czas — dostałem śrut i gazety. Gazety, upstrzone wielkiemi anonsami: „Konsekwencje zamachu w Sarajewie", „Widmo wojny" i t. p., cisnąłem narazie na bok, śrut powitałem, jak mannę z nieba. Bey widocznie podzielał to zapatrywanie, podskakując radośnie wkoło stołu, na którym już leżała strzelba i maszynka do nabojów.

W chwilę potem szedłem z psem u nogi i strzelbą na ramieniu na najbliższe ściernisko.

Gazety daremnie krzyczały w ciszy litewskiego dworu o wojnie. Pozostały na biurku pod marmurową statuetką.

Żmudź jest jak młoda, zadumana dziewczyna z zagadkowym uśmiechem Giocondy na ustach. Wiatr od morza, stale tu wiejący z zachodu na wschód, rozpędza chmury, ale przynosi smętek i rozsnuwa go po polach i lasach, kniejach i rozłogach. Żmudź jest smętna i spokojna, jak lud żmudzki i jak żmudzkie krzyże przydrożne, rozsiane gęsto po całym kraju i modlące się wraz z nim gorąco i żarliwie. A jesień żmudzka jest już całkiem senna, zwłaszcza w taki pochmurny dzień, jak dzisiaj.

Podobno świat jest w przededniu burzy dziejowej. Lecz w przyrodzie wszystko spało, mimo że słońce było już wysoko. Ale drzemało także samo słońce, zarzuciwszy na siebie zasłonę z chmur i mgieł. Mgły otuliły również senne głowy co wyższych i co starszych drzew przydrożnych. Jedynie młodzież liściasta nie kładła głów do poduszek, lecz rozglądała się po świecie, ukazując przechodniom swe rude, złote i miedziane grzywy.

Ale my z Beyem woleliśmy wpijać wzrok nie w krasę drzew, lecz w szaro-pstre, bliźniaczo podobne do pierza kuropatw rżysko.

Pies kołował wciąż, jak opętany, z nosem przy ziemi, oglądając się od czasu do czasu na mnie, czy aby nie robię jakiej myśliwskiej gafy i czy zdążam we właściwym kierunku. Gdy stawałem, zatrzymany przez rów lub płot, Bey i wtedy nie zatrzymywał się ani na chwilę, tylko z ubolewaniem skracał promień swych łuków i półkoli, aby się nie oddalić zanadto. Wydostawszy się na wzgórze, skierowałem się tem samem rżyskiem ku wąwozom, porosłym krzakami. Pies zauważył zmianę kierunku i natychmiast dostosował do tego szlak swojego tropienia, przebiegając go to w prawo, to w lewo, podobnie, jak kosa przebiega z prawa na lewo i znów z powrotem po szlaku, środkiem którego posuwa się kosiarz.

Nagle rozpędzony w galopie Bey skręcił się w powietrzu pod ostrym kątem zapomocą nieprawdopodobnego piruetu i stanął, jak wryty, z pyskiem skręconym wbok. Ale za sekundę ruszył dalej. Szedł teraz powoli, ostrożnie i przemyślnie, płaszcząc się nieco i skradając ku niewidzialnym dla myśliwego kuropatwom. Czy widzi je sam? O, tak. Czuje je węchem tak, jak gdyby widział wzrokiem — a czyż to nie wszystko jedno?

Ten węch pcha go przemożnie wprzód, gdy przezorny instynkt łowiecki i tresura hamują go i ostrzegają: „Cyt. Nie spłoszyć". Idzie więc, ale idzie jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej, niż przedtem. Tylko

naprężone, jak moje własne nerwy, ścięgna i mięśnie psa wskazują na to, że emocja nasza dobiega szczytu napięcia.

Podbiegłem natychmiast do Beya i, umieściwszy się na najodpowiedniejszej odległości, poszedłem za nim trop w trop, ogarnięty tym samym szałem i tą samą pasją łowiecką, co i on. Możliwe, że miałem taksamo wyciągniętą ku przodowi szyję i taksamo wbity przed siebie wzrok i węch. Tylko, że ja nie widziałem i nie czułem nic. Tem uważniej i baczniej obserwowałem psa.



„Marbiel Ingar" wł. mec. T. Tomaszewskiego. Fot. W. Rudlicki.

A Bey szedł coraz wolniej i czaił się coraz bardziej. Trop był długi i kręty — kury widocznie zbiegały po ziemi ku wąwozom. Czasami pies przystawał i już, już zdawało mi się, że to s t ó j k a. Lecz nie. Jeszcze kilka kroków psa, a za nim kilka kroków myśliwego. I znów stop — i znów naprzód.

*

Wreszcie „stój" — krzyknęła podniesiona noga wyżła. Pies zamienił się w marmur.

Jednocześnie stanęło mi serce i zabrakło tchu w piersiach, jak gdybym polował pierwszy raz w życiu.

Za chwilę — czy była to zresztą chwila, czy wieczność, trudno sobie zdać sprawę — z rżyska zerwała się z szumem i łopotem lotna, pstra, pierzasta, skłębiona chmura.

Paf—paf. Dwa strzały z dwóch luf, dwa łuki padających ptaków, które dla myśliwego milsze są, niż spadające gwiazdy — i dwa trofea przy boku.

*

Nagle co to? Ktoś biegnie pędem ze dworu, wywijając jakiemś pismem. Cóż to za wieści?

Depesza... Mobilizacja.

*

Było to moje ostatnie polowanie na Żmudzi. Wojna. Wędrówka poprzez wszystkie fronty ku Polsce. Sny o mocarstwie. Mocarstwo.

Mała Żmudź pozostała daleko, lecz tkwiła głęboko.

Jak młoda, zadumana dziewczyna z zagadkowym uśmiechem na ustach...

*

Aż któregoś dnia przysłano mi paczkę „z zagranicy". Z domu. Ze Żmudzi.

Rozwijam... — Cyt. Nie spłoszyć, — krzyknęła nagle postawa wyżła na stójce.

... A prawa przednia zamarła psu w powietrzu...

*

Postawiłem go na biurku, aby mi przypominał, że jak polować, to na Żmudzi.

Więc nie płoszyć mi wizji pól i łąk litewskich, i litewskich polowań. Nie płoszyć wizji d a w n e j Żmudzi, niby ślicznej dziewczyny z zagadkowym uśmiechem — uśmiechem sielskim, anielskim.

*

I znowu wyciągam rękę po gazety, przyciśnięte marmurową statuetką.

Sen prysnął. Rzeczywistość litewska ma twarz Meduzy.

ZDZISŁAW CHRZĄSTOWSKI

P O S O K O W C E.

Praca za postrzałkiem absorbuje oraz wymaga całego zainteresowania każdego prawidłowego myśliwego, gdyż zawsze będzie chodziło o to, by wyrównać pewien brak w całości polowania. Gdyby każdy strzał trafiał tam, gdzie powinien, to wówczas nie istniałaby żadna praca za postrzałkiem, a conajmniej nie byłoby pracy trudnej, względnie daremnej. Żaden z nas nie jest bez błędu i nawet najlepszy strzelec, ani najbardziej doświadczony i spokojny myśliwy nie może nigdy być zupełnie pewnym swego strzału. Jakość oświetlenia, broń, względnie amunicja, a choćby najdrobniejsze, dla gołego oka niedostrzegalne przeszkody na linji strzału, wreszcie nieprzewidziane ruchy zwierzyny w chwili pociągnięcia za spust broni mogą stać się powodem, że kula nie trafi do właściwego miejsca przeznaczenia.

Przy strzale do tarczy niewielkie odchylenia w biegu kuli pozostają bez znaczenia, jednakże przy strzale do żywego celu odgrywa u prawidłowego myśliwego dużą rolę poczucie odpowiedzialności wobec zwierzyny łownej, a przy wymawianiu słów: „praca za postrzałkiem" odzywać się zaczyna coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Toteż nie jest myśliwym, kto nie pamięta o swych obowiązkach wobec postrzałka i dla kogo kończy się każde polowanie na grubą zwierzynę z chwilą strzału do niej. Sam strzał bowiem, tworząc drugą fazę wykonywania polowania, jest najprostszą jego częścią, wymagającą jedynie umiejętności strzelania, —stosunkowo łatwej, — w porównaniu do pierwszej i trzeciej fazy polowania, to jest wytropienia i podejścia zwierza na strzał oraz odnalezienia go po niezupełnie śmiertelnym strzale.

Prawidłowe zachowanie się wobec postrzałka jest pierwszem przykazaniem myśliwego oraz najważniejszym jego obowiązkiem, podyktowanym etyką wobec rannej zwierzyny.

Ileż to zwierzyny ginie z powodu nieumiejętności tropienia postrzałka, a najczęściej z powodu braku psa myśliwskiego, umiejącego chodzić za farbą. Przy wielkiej umiejętności myśliwego w tropieniu postrzałka, przy bardzo wielkim upływie farby oraz na śniegu, można nawet bez psa tropić postrzałka. Żadna jednak choćby jak największa wprawa i umiejętność tropienia nie będzie nigdy w stanie zastąpić psa, który zawsze da tę gwarancję, że zginie możliwie najmniejszy procent postrzelonej zwierzyny.

Do tropienia postrzałka używane są nadające się przedewszystkiem wyżły użytkowe (niemieckie), posiadające w wielkiej mierze przyrodzone zdolności chodzenia za farbą. Z uwagi jednak na to, że wyżeł użytkowy winien być wszechstronnym, musi on podzielić swe zalety i umiejętności na wszystkie działy pracy w polu i w lesie, oraz na wodzie, a tem samem nie może dawać z siebie tyle, ile pies-specjalista w danym dziale.

Dobry wyżeł użytkowy wprawdzie wypracuje postrzałka, idąc na otoku — rzadziej luzem — nawet wówczas, gdy mało jest farby, lub ślad jest starszy. Nie jest natomiast w stanie trzymać tropu postrzelonej, lecz niefarbującej sztuki, która nie odłączyła się od stada. O ile trafi się wyżeł o takich zdolnościach,

zaliczyć go można do fenomenów swego rodzaju. Rzadko spotkać można również pośród wyżłów niemieckich psy, oszczekujące znalezionego postrzałka (Totverbeller). W chwili obecnej, zdaje mi się, nie posiadamy u siebie żadnego psa „oszczekiwacza".

Do tropienia postrzałka używa się również t. zw. spaniele, czyli płochacze oraz jamniki. Specjalnie jamniki posiadają bardzo wielkie zdolności tropienia postrzałków, przytem są bardzo zwinne i z łatwością przedzierają się przez gąszcze. Ujemną stroną płochaczy oraz jamników jest mały ich wzrost, wobec czego są niezdolne do ściągania rannej zwierzyny. Wymienione dopiero co rasy psów, nadające się do tropienia postrzałków, nie będą nigdy specjalistami w tropieniu i nigdy nie będą posiadały tych fenomenalnych zdolności tropienia, jakie posiada pies posokowiec.

O posokowcach mało naogół wiadomo myśliwym, po części dlatego, że rasa ta jest stosunkowo dość młoda, gdyż istnieje w dzisiejszej swej formie dopiero około 100 lat, po części może i dlatego, że bywa używana jedynie przez myśliwych, polujących na zwierzynę rochmanną i na dziki. Zatem rasa posokowców siłą rzeczy jest nieznaną naszemu ogółowi myśliwych, polującemu na zwierzynę drobną oraz rogacze.

W samych Niemczech nawet, które są kolebką posokowców, stosunkowo niedużo pisano do roku 1933 o tej rasie psów. W czasopismach łowieckich i kynologicznych spotykać można było jedynie sprawozdania, dotyczące przeprowadzonych prób oraz sporadyczne opisy dokonanych przez posokowce prac. Dłuższe artykuły, zajmujące się zagadnieniami tresury posokowców, należały do rzadkości. Z podręczników, dotyczących hodowli i tresury posokowców, istniejących w Niemczech, wymienić można jedynie dwa dziełka, a mianowicie: radcy leśnictwa Gerding'a p. t. „Posokowiec, jego hodowla oraz wychowanie, tudzież jego tresura oraz praca ongiś i dzisiaj" [1], oraz radcy leśnictwa hr. Bernstorff'a p. t. „Hodowla oraz tresura posokowców" [2].

Z wyżej wymienionych książek praca Gerding'a jest wyczerpana.

Od początku 1934 r. możemy w Niemczech zaobserwować wzmożenie się ruchu w kierunku hodowli posokowca. Ruch ten przypisywać należy zarządzeniu wielkiego łowczego Rzeszy (Goering'a) w tym kierunku, że każde nadleśnictwo, względnie łowisko o stałym stanie oraz etacie odstrzału jeleni, winno posiadać conajmniej 1 posokowca. Z tych powodów sprowadzenie posokowca z Niemiec do Polski jest w chwili obecnej bardzo utrudnione, gdyż popyt na nie oraz cena w Niemczech są bardzo wielkie.

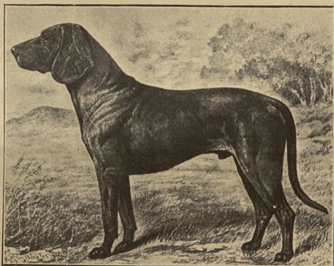
Rozwój hodowli posokowców u nas jest jeszcze w zarodku. Krajowe czasopisma łowieckie bardzo mało zajmowały się posokowcami i nieliczne są publikacje w tej materji. Najlepszemi, choć szczupłemi pracami z tej dziedziny są artykuły Alberta Mniszka, drukowane w „Łowcu" z r. 1904, oraz Jana Grabowskiego z Nr. 19. 1923 r. „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Najpopularniejsze polskie podręczniki łowieckie, jak Korsaka „Rok Myśliwego" i Krawczyńskiego oraz Sztolcmana „Łowiectwo", wspominają krótko tylko o istnieniu specjalnej rasy psów, idących za farbą, t. zw. tropowców albo posokowców.

Pracy St. Błockiego p. t. „Nasze psy", opisującej m. in. rasy posokowców, nie można uważać za podręcznik dla myśliwych, gdyż opisy, traktujące nietylko o posokowcach, lecz również o wyżłach i innych psach myśliwskich, są niekompletne, a ponadto gwara myśliwska, na którą silił się autor w swych opisach, dotyczących polowania oraz psów myśliwskich, mocno szwankuje i w większej ilości wypadków jest zupełnie błędną.

Ilość posiadanych przez nas posokowców czystej rasy jest w chwili obecnej bardzo nikła. Istnieje bowiem w Polsce kilka zaledwie gniazd tropowców hanowerskich oraz bawarskich (górskich), z których największe posiada Zarząd leśny ks. Pszczyńskiego w Pszczynie. Ilość tropowców czystej rasy, znajdujących się w Polsce w chwili pisania niniejszej pracy, nie przekracza liczby 20 sztuk.

Wszyscy nasi myśliwi, polujący na jelenie, winni posiadać specjalistów w tropieniu postrzałków, t. j. posokowce, które są nieodzownie potrzebne dla łowisk o stałym stanie zwierzyny rochmannej (płowej). Na podstawie nielicznie istniejącej światowej literatury, dotyczącej posokowców, jak również małego jak dotychczas zainteresowania naszych myśliwych tą sprawą, należy przypuszczać, że większa część braci myśliwskiej niewiele wie o posokowcach, ich hodowli oraz tresurze, toteż w rodziale II-gim niniejszej pracy opiszę szczegółowo wygląd posokowców i tropowców, istniejące dziś rasy posokowców oraz ich pochodzenie.



Posokowiec hanowerski wg obrazu Sperlinga.

Dane natomiast, dotyczące hodowli i tresury posokowców, streszczę w rozdziale III-cim, jako tłomaczenie (po części streszczenie za zezwoleniem autora) jedynej dziś istniejącej w Niemczech książki, dotyczącej posokowców, t. j. pracy hr. Bernstorffa.

Podczas tłomaczenia względnie streszczania tej pracy napotkałem pewną ilość wyrazów fachowych z dziedziny łowiecko-kynologicznej, nierozpowszechnionych, a więc mało, lub zupełnie nieznanych w naszej terminologji łowieckiej. Wyrazy te przetłomaczyłem dosłownie, lub w przybliżeniu, o ile brzmienie ich odpowiadało właściwemu znaczeniu wyrazu, albo wreszcie przez opisanie.

Przypuszczać należy, że z chwilą silniejszego rozwoju hodowli posokowców u nas ustali się obowiązująca polska terminologję. Wszystkie wyrazy, które nie są rozpowszechnione w polskiej terminologji łowieckiej, względnie brzmienie ich może być źle zrozumiane przez czytelników, oznaczyłem krzyżem (x), wyjaśniając jednocześnie w końcu rozdziału III ich znaczenie, względnie pochodzenie.

W rozdziale IV-tym niniejszej pracy podam — jako zakończenie — kilka praktycznych wskazówek, w jaki sposób posokowca prowadzić na otoku oraz jak należy otok wiązać.

---

[1] Forstmeister Gerding — Der Schweisshund, seine Zucht und Erziehung, sowie seine Führung und Arbeit einst und jetzt. Neumann-Neudamm 1904.

[2] Forstmeister Graf Bernstorff — Zucht und Behandlung des Schweisshundes — Neumann-Neudamm 1926.

RASY POSOKOWCÓW.

Posokowiec hanowerski.

Posokowiec hanowerski w swej dzisiejszej kondycji jest produktem hodowlanym ostatniego stulecia. Wyhodowanie oraz utrzymanie rasy tej zawdzięczamy myśliwym hanowerskim, którzy przez umiejętne krzyżowanie psów, o zdolnościach tropienia postrzałka, stworzyli podstawę dzisiejszego typu posokowca hanowerskiego.

Prawzorem tej rasy był pies - tropowiec (Leithund, limier) używany w Palatynacie oraz Francji Wschodniej (lewy brzeg Renu) do polowań par force. Służył on przy polowaniach tych do wyparowywania zwierzyny z kryjówek, oraz do tropienia jej po zimnym śladzie.

Niemcy natomiast (mieszkańcy prawego brzegu Renu) nietyle hołdowali łowom par force, ile lubowali się w polowaniach z kuszą i skałkówką na podchodnego. Dlatego też, prócz tropowców, hodowali posokowce, zadanie których polegało na tropieniu postrzałka, zatrzymywania go, oraz zawiadamiania myśliwego oszczekiwaniem, gdzie dana sztuka się znajduje.



Posokowiec górski (bawarski) w g obrazu Arnolda.

Budowa posokowców oraz tropowców jest bardzo zbliżona do siebie, z tą różnicą, że tropowiec jest znacznie wyższy oraz cięższy od posokowca. Chód jego jest bardziej kołyszący, pozatem kufy znacznie szersze od kuf tropowca. Tropowiec nosi ogon zadarty w górę, posokowiec natomiast — opuszczony w dół.

Trzecim psem, krew którego płynie w dzisiejszym posokowcu, jest gończy hanowerski (Heidebracke), zwinny oraz lekki pies o średniowielkiej głowie, małych fafłach, długich włosach na uszach, oraz owłosionej kicie, którą nosi zawsze opuszczoną w dół, nie podnosząc jej nawet podczas gonu wyżej grzbietu.

Podczas wojen napoleońskich, kiedy kraje nawiedzone tą wojną zubożały, coraz bardziej zanikał praktykowany sposób polowania par force, a razem z tem zanikały tropowce oraz pasokowce. Po wojnach napoleońskich, kiedy kraje zaczynały dźwigać się nanowo, zaczęto również starać się o wprowadzenie zaginionych posokowców. Dwór łowiecki w Hanowerze [1]), rozpoczął skupywać istniejące w puszczy hanowerskiej krzyżówki gończych hanowerskich, posokowców oraz tropowców. Z tych to krzyżówek powstała dzisiejsza czysta rasa posokowców hanowerskich. Pierwsze krzyżówki tych psów tworzyły różne ich typy. Dopiero przez stałą oraz systematyczną selekcję, dążącą do stworzenia typu psa średniociężkiego, o jednobarwnej, czerwonej maści, stworzono po dziesiątkach lat typ dzisiejszego posokowca, stanowiącego osobną rasę, u której przebijają wszystkie dodatnie cechy, odziedziczone po wymienionych wyżej krzyżówkach. A więc lekkie, proste nogi, ponadto niezbyt ciężki korpus gończego hanowerskiego; oczy, głowa, szyja oraz długość i kształt ogona posokowca, wreszcie kufy tropowca. Maść posokowca hanowerskiego jest jednostajnie czerwonawo-płowa z ciemną maską. Wszelkie białe plamy na nogach (mankiety) oraz na piersiach uważane są za błędy, które należy rugować.

Posokowiec górski względnie bawarski.

Podczas gdy rasa posokowców hanowerskich powstała przez krzyżowanie ciężkiego tropowca z gończym, to odwrotnie — rasa posokowca bawarskiego powstała przez doprowadzenie krwi posokowców do lekkich gończych; rasa ta była bardzo rozpowszechniona we wszystkich krajach alpejskich. Impuls do stworzenia lżejszego typu posokowca górskiego dały liczne śmiertelne wypadki myśliwych w łowiskach górskich, w których myśliwi często zostawali ściągani w przepaście przez stosunkowo ciężkiego posokowca hanowerskiego, nieprzyzwyczajonego i niedostosowanego do zwinnego przechodzenia wąskiemi ścieżkami nad przepaściami.

Różnica pomiędzy posokowcem górskim a hanowerskim polega na znacznie lżejszej budowie pierwszego. Z wyglądu zewnętrznego posokowiec górski jest raczej podobny do gończego. Posiada on zgrabną, lekką budowę, niezbyt długi grzbiet oraz wyższe nogi. Posokowiec górski posiada łapy podłużne, podczas gdy posokowiec hanowerski ma łapy krągłe. Wysokość barkowa posokowca górskiego wynosi około 50 cm, hanowerskiego — 58 cm.

Różnica w budowie obu ras posokowców wynika jasno z ich pola pracy. U posokowca hanowerskiego wchodzą w rachubę łowiska nizinne, u bawarskiego łowiska pod- oraz wysokogórskie. Na równinie myśliwy skupiać może całą swą uwagę na ślad i farbę, w górach natomiast uważać musi raczej na miejsca, gdzie nogę stawiać. Toteż u posokowców górskich zwraca się szczegółową uwagę na to, by pies również bez otoku (luzem) szedł wolno za śladem, by myśliwy z łatwością mógł podążyć za nim, oraz by pies reagował na gwizdek, lub zawołanie myśliwego, po którem winien warować na tropie do czasu przybycia myśliwego. Tropowiec górski musi oczywiście pracować również na otoku.

INŻ. L. OSSOWSKI

(Dok. nast.)

[1]) Hannoversche Jaegerhof.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na drugi kwartał b. r., lub na miesiąc czerwiec.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

GARŚĆ WRAŻEŃ Z III FIELD TRIALSÓW POINTER KLUBU W POLSCE.

Korzystając z łaskawego zaproszenia Prezydjum Pointer Klubu do wzięcia udziału w Komisji Sędziów tegorocznych wiosennych prób polowych Klubu, po raz wtóry miałem sposobność obserwowania wyników twórczej pracy zamiłowanych hodowców wyżła angielskiego, skupiających się na terenie Warszawy, wymienić szereg zdań i poglądów, oraz zetknąć się z ową naprawdę ożywczą atmosferą hodowlano-łowiecką, której, niestety, w innych połaciach kraju, zwłaszcza zaś na terenie Małopolski, brak niemal zupełnie.

Sposobność zetknięcia się z jednym z Nestorów naszej hodowli, człowiekiem o rzadko wprost spotykanem doświadczeniu i praktyce, jakim jest p. A. W. Stolarow, dodawała zarówno samej pracy sędziów, jak i owym kilku dniom, w całości „psim sprawom" poświęconym, niepośledniego uroku. Aura podczas prób tegorocznych była niewątpliwie o wiele mniej łaskawa, niż w roku ubiegłym, a od czasu do czasu, zwłaszcza w rannych godzinach, przebiegające fale zadymek śnieżnych podkreślały słuszność starego ludowego przysłowia odnośnie do zmiennej kwietniowej aury. Warunki te, zwłaszcza silne podmuchy wiatru, nie dawały idealnych momentów dla pracy psów, odbijając się niewątpliwie zarówno na szybkości i stylu, jak i na ogólnych możliwościach pracy węchowej większości kandydatów. Z tem wszystkiem jednak zorjentować się w wartości i możliwościach materjału można było zupełnie dobrze.

Bardziej urozmaicony obraz, w porównaniu z rokiem ubiegłym, przedstawiali menerzy, którzy wystąpili w liczbie czterech.

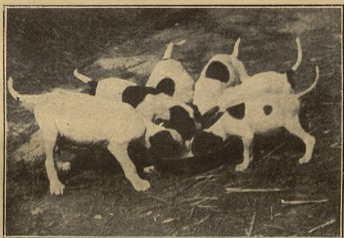
Jednakże z całą bezstronnością stwierdzić można, iż treser Żółtej Karczmy, Dziekanowski, poziomem wyrobienia materjału i sposobem prowadzenia, chwilami może tylko cokolwiek zbyt nerwowego, odbijał się zupełnie wyraźnie od swych współtowarzyszy. Jedyny z nowicjuszów na field trialsach, Elchner, wykazał zupełne nieobeznanie z wymaganiami, stawianemi menerowi i psu na próbach tego rodzaju. Żółtonosow zaś, niewątpliwie w lepszej formie, niż w roku ubiegłym, raził wciąż jeszcze pewnem jakby skrępowaniem i brakiem swobody chodów u wszystkich prowadzonych przez niego pupilów. Jedyny dżentleman mener, p. inż. Krassowski, podjął się niewątpliwie trudnego zadania dla wszystkich „ludzi miasta", tak że, niestety, może nieco nerwowy sposób prowadzenia psa, zwłaszcza w pierwszym turze, a także braki w posłuszeństwie kandydata, nie mogły zadowolić sędziów.

Przejdźmy teraz do samych psów. Klasa młodzieży mniej liczna, niż w roku poprzednim, stała w całości pod znakiem zwycięstwa pointerów hodowli p. dr. Bielawskiego, którym przypadły wszystkie trzy pierwsze miejsca. Pierwsze miejsce, które przypadło „Marbiel Ingo", psu niewątpliwie bardzo stylowemu, z doskonałym wiatrem, było bardzo bliskie do osiągnięcia przez jego brata „Ingara". Trudno faktycznie powiedzieć, który z tych dwóch psów jest naprawdę lepszy. Moje sympatje leżą po stronie zdobywcy drugiej nagrody „Ingara", psa z doskonałą budową i dużym temperamentem, oraz pierwszorzędnym wiatrem. „Ingar" był może mniej w formie, wykazywał braki tresury (rzucanie się po strzale), dzięki czemu musiał uledz swemu bratu, u którego, bez popełnienia błędów tresury, przy doskonałym pozatem stylu, da się zauważyć jakby cień bardzo zresztą opanowanej tendencji do interesowania się śladami.

Trzeci z braci „Imp" godnie zupełnie zajął trzecie miejsce, tak, że stosunkowo krótkotrwała próba tego psa wystarczała zupełnie do określenia jego lokaty. Ostatni natomiast z Marbielów „Ignis" p. Czerskiego, wybitnie gorszy swą poniekąd suczą, słabo ożebrowaną budową, i prowadzony nieudolnie, pozostać musiał bez miejsca.

W klasie otwartej pierwsze miejsce zajął zeszłoroczny „derbista" i zwycięzca w kilku próbach jesiennych „Marbiel Gryff". Pies ten szybkością, stylem i pasją zrobił, czy raczej potwierdził, jak najlepsze wrażenie swej klasy polowej, tak, że niewątpliwie pewne drobne usterki, jakie wykazał w turze ze „Splendor Arją" byłyby nie wystąpiły podczas pracy w lepszych terenowych warunkach.

Zajęcie drugiego miejsca w klasie otwartej przez „Splendor Beya", który przepadł na poprzednich próbach, było dla mnie dużą satysfakcją, jako fakt stwierdzający, iż piękny ten reproduktor bynajmniej się „nie skończył", lecz poniósł wówczas klęskę dzięki chwilowej niedyspozycji. „Bey" odznacza się doskonałemi, lekkiemi i szybkiemi chodami, daje klasyczną stójkę, odtwarzającą typ klasycznej urody pracy przedwojennego typu pointera.



Pierwszy miot szczeniąt Marbiel - Geurry (wł. p. Kazimierza Kamieńskiego) po Blackfield Eolu.

Pies ten, łączący w rodowodzie najlepsze kontynentalne linje polowe, z przewagą dawnych prądów marrowskich, powinien być, mojem zdaniem, należycie wyzyskany, jako reproduktor; pomimo tego, że wiatrem niewątpliwie ustępuje „Gryffowi", posiada wyraźne nawiązania do linij krwi większości naszych suk, w których leżą dalsze możliwości postępu. Pomimo bowiem istotnie wielkiego mego uznania dla jakości polowej „Marbielów", t. j. produktów „Janko" i „Blackfield Edith", nie uważałbym ich za wyłączne panaceum na wszelkie bolączki naszej hodowli pointerów, nie żeby nie były pod każdym względem pierwszorzędnemi psami, lecz jako osobniki, prowadzące dość rozmaite prądy krwi, z materjałem suk, odmiennych pochodzeniem, muszą dać dość dużą skalę wahań w jakości potomstwa, które dopiero wyselekcjonuje się na przyszłych próbach polowych.

Z obecnych połączeń hodowlanych niewątpliwie najciekawsze jest połączenie „Marbiel Geurre" i „Blackfield Eole", leżące już w granicach t. zw. chowu krewniaczego. Spodziewać się należy tam bardzo wybitnych psów polowych, mogących poważnie zaważyć na naszej całej hodowli, choć nie można zaprzeczyć, że wahania w typie, budowie głowy etc. wśród pojedyńczych osobników mogą tu być dość znaczne, czyniąc miot ten jeszcze bardziej ciekawym

Zastanawiającą jest rzeczą, iż wszystkie czołowe produkty połączenia „Janko - Edith" stanowią jakby nawrót do angielskich linij, które istnieją w rodowodzie ich matki. Ostre pyski, wyraźne podgardla i często, na stójce zwłaszcza, zadarte w górę ogony nadają im wiele podobieństwa do typu angielskich pointerów polowych, tak, że nasuwa się podejrzenie, iż morfologiczne cechy kompleksu roboczych psów angielskich i naszych „Marbielów", oraz ostrość wiatru i styl pracy są w pewien sposób z sobą sprzężone — rzecz bardzo ciekawa z punktu widzenia współczesnej genetyki.

W tem ujęciu wydaje mi się, iż przedewszystkiem „Edith" ponosi odpowiedzialność za sukcesy hodowli dr. Bielawskiego, podczas gdy „Janko" musi być oceniony na zasadzie wyniku innych kojarzeń. Tu, jako najlepsza córka tego reproduktora, nasuwa się „Splendor Arja", która choć na ostatnich field trialsach nie miała specjalnego szczęścia, pracując bez zbytniego zapału, rzucając się po strzale i dając kilka pustych stójek, jednak jest niewątpliwie suką bardzo wartościową, o dużych możliwościach hodowlanych. Mam też wrażenie, iż pozostaje ona w nienajlepszych stosunkach z prowadzącym ją ostatnio menerem, co odbiło się niewątpliwie na pasji łowieckiej i stylu pracy podczas ostatnich prób. Gdybym nie bał się napisać herezji w mniemaniu conajmniej większości myśliwych, rzekłbym, że, pomimo pewnego „kazirodztwa" najlepszego partnera dla „Arji", jako suki hodowlanej, widziałbym w jej półbracie „Splendor-Beyu".

Brat „Arji", „Splendor Eros" zawiódł całkowicie, robiąc wrażenie psa zupełnie nietrialsowej klasy. Płaskie ożebrowanie i wybitnie suczy wygląd dyskwalifikują „Erosa", jako reproduktora. Mojem zdaniem, pies ten powinien zrzec się ambicji większej karjery na próbach i w hodowli, dokonując żywota w rękach niezbyt może wymagającego, lecz praktycznego myśliwego.

Płaskie, niedostatecznie wysklepione tylne żebra stanowią ważną i niewątpliwie dziedziczną wadę u wyżłów. Podobnie szkodliwą wadę stanowi słaby i ścisły zad, utrudniający znacznie swobodę ruchów. Cechę tę widzieliśmy u psa mego chowu, bezskutecznie debiutującego na ostatnich próbach.

Obu tych właściwości należy bardzo starannie unikać w doborze hodowlanym wyżłów polowych wszelkich ras.

Settery, występujące na próbach w ilości trzech, nie mogły poszczycić się wielkiemi wynikami. Dwa irlandy, rodzeni bracia, sprawiały wrażenie psów, obdarzonych jak najlepszemi chęciami, za któremi nie nadążały wiatr i styl. Na zasadzie wyników prób jesiennych trzeba je uważać za dobry materjał użytkowy, z którego extra klasę polową i hodowlaną trzeba dopiero wydobyć drogą usilnej i starannej selekcji.

Angielski setter „Surprise Gem", zdobywca zaświadczenia w klasie otwartej, niewątpliwie rozwija się pod względem myśliwskim, stanowiąc dobry materjał użytkowy, jak sądzę, nie pozbawiony wartości hodowlanej.

Niemniej trzeba stwierdzić, iż nasi amatorzy wszelkich odmian settera mają przed sobą bardzo wiele pracy, jeśli chcą dorównać hodowcom pointerów. Tu trzeba niewątpliwie świeżego materjału o dużych zaletach polowych. Być może, że w części da ten materjał szeroko w bieżącym roku używany do chowu „Grigg of Otham". U setterów angielskich, sądzę, należałoby też zmniejszyć masę i wzrost, który u takiego „Gema" niewątpliwie stanowi pewnego rodzaju martwe obciążenie, zmniejszające szybkość i wydajność ruchu.

Wkońcu mała uwaga. Gdy po próbach, dzięki uprzejmości kilku panów, udaliśmy się na oglądanie kilku nowych miotów pointerów i natknęliśmy się na typ psów, niewystępujący na wiosennych próbach, niemile dotknięty zostałem oznakami zaczynającego się rozdziału naszej hodowli na typ wystawowy i polowy.

Psy ostatniego typu, które jeszcze niekiedy uzyskują jakieś poślednie zresztą miejsca na jesiennych próbach, mają niewątpliwie piękne głowy i ładną maść, jednak ich ponure i nieufne usposobienie i napozór prawidłowa budowa, choć tracąca na efekcie, gdy tylko pies zacznie się żywiej poruszać, wskazują na to, że coś tu jednak jest nie w porządku.

Samo ogrodzenie, w którem cierpliwie bawił pies i dwie suki, a z którego normalnie wyskoczyłyby półroczne szczenięta, każe stwierdzić, iż z akcją zbyt krótkiej i stromej łopatki i prawdopodobnie mało elastycznego krzyża jest tu niezbyt dobrze. A szkoda, gdyż psy te mają skądinąd dobre pochodzenie i doskonałego „Lord Buchanan" w rodowodzie.

Jeśli już chodzi o estetykę, to niewątpliwie i dawniejsze produkty naszej hodowli, np. udane produkty „Pampasa" i „Ganki", dawały sylwetki bardziej harmonijne i skończenie piękne, a przecież były to bardzo dobre psy polowe.

Głowa jest niewątpliwie bardzo charakterystyczną cechą rasowego pointera. Łatwiej jednak odzyskać utracony typ głowy, niż zmarnowane zdolności polowe, które bardzo łatwo, przy braku selekcji, mogą przepaść bezpowrotnie. Nie ulega więc wątpliwości, że hodowlą na głowę i maść wyłącznie żadnej łowieckiej rasie psów istotnej przysługi oddać nie można.

T. MARCHLEWSKI



(—*zet*—) Umieszczona obok fotografja, przedstawia niedawno nabytego w Niemczech przez jednego z członków Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. R. Kentzera z Pruskiejłąki, posokowca, jako materjału hodowlanego.

Posokowiec ten, imieniem „Sascha vom Grünen Grund", skończył w marcu b. r. 5 lat. W dotychczasowej swej karjerze wystawowej i na próbach zdobył szereg pierwszych nagród. Kosztował 1,000 Rm.

„Sasza" znany jest na niemieckich ringach i należy do elity tropowców. Nabytek ten należy uznać za szczęśliwy, wobec podjętej w Polsce hodowli tych tak bardzo potrzebnych psów myśliwskich.

WOLNA TRYBUNA.

JESZCZE O „SPRAWIE SZCZEGÓLNEJ WAGI"

Nawiązując do artykułu gen. St. Skrzyńskiego, zamieszczonego pod powyższym tytułem w Nr. 11 „Łow. Pol.", chciałbym ze swej strony podzielić się z czytelnikami memi spostrzeżeniami w tej kwestji.

Przyjazd gości zagranicznych na łowy do Polski jest bezwarunkowo najlepszą propagandą naszego kraju zagranicą. Ale — właśnie o to „ale" mi chodzi. Może się on stać dla nas w pewnych warunkach i fatalną propagandą, i zepsuciem naszej renomy zagranicą, jeżeli łowy te urządzają ludzie, którym tylko o pieniądze chodzi, a którzy łowów nie potrafią należycie przygotować.

Nie mówię tu o polowaniach, urządzanych w środkowej lub zachodniej Polsce — a mieszkając sam na kresach, mam na myśli miejscowe polowania, zresztą najbardziej „zagraniczników" frapujące.

Pomyślmy, jakie łowy ze stuprocentową pewnością mogą się udać i przez to nadają się dla cudzoziemców? Wymienić tu należy mojem zdaniem: 1) toki głuszców, 2) polowania wiosenne na kaczory, 3) sady kaczek, 4) odstrzał łosia, 5) toki cietrzewi... i stop.

Czytelnicy zapytają: a gdzie polowania na dziki, gdzie tak frapujące wilki? Odpowiem na to — nie. Składa się na to szereg przyczyn. Cudzoziemcy bardzo rzadko polują, strzelając kulą. Jedynie Węgrzy, Rumuni, Czesi, Niemcy i północne za Bałtykiem narodowości. Ci jednak do nas nie przyjadą, gdyż dzików mają u siebie poddostatkiem, a reszta nie interesuje się dzikiem — czy też nie chcą się z nim spotykać.

Osobiście nie chciałbym być na polowaniu w ostępie dawidgródeckim, gdy 12 nemrodów zacznie po raz pierwszy w życiu prać kulami do dzików... Nie radzę być wtedy blisko gajowym, czercie, a nawet psom... Bałbym się poprostu takie łowy urządzać!

Naturalnie, w każdem państwie znajdują się myśliwi wytrawni — znakomici strzelcy — nie o nich myślę — są to tylko jednostki.

Największą może atrakcją dla „zagraniczników" mógłby być wilk. — Słynne są polowania na wilki z fladrami. Ale cóż, przyjedzie taki zagranicznik z Paryża, Brukseli, lub Anglji do Polski na trzy dni i — wyjedzie obrażony, że nietylko nie strzelał, ale nawet nie widział wilka, a nie zrozumie, że wilk to nie pies domowy i że na rozkaz nie musi się dać ofladrować.

Zapytajcie takiego znakomitego wilczarza, jakim jest Maurycy hr. Potocki, ile dni trzeba stracić na terenach kresowych, gdzie wilki są i to dobrze karmione, by dojść do strzału. Odpowie na to z pewnością, że zależy to od szczęścia, ale że poświęcić trzeba minimum tydzień czasu, choć może się zdarzyć, że i pierwszego dnia myśliwy dojdzie do strzału.

Jakie więc tereny na kresach nadawałyby się na polowania dla cudzoziemców i jak polowania zorganizować, aby mieć te 100% pewności, że każdy gość z zagranicy wyjedzie zadowolony, głosząc o nas tylko dobre rzeczy — co odegrałoby kolosalną rolę propagandową.

Pomijając wielkie kompleksy łowieckie, jak ordynacja dawidgródecka, nieświeska, Rzepichowszczyzna, Agarkowszczyzna i t. d., rzucam tu myśl, której zrealizowanie uważałbym za najlepsze wyjście z sytuacji.

Jest dziś na kresach dużo majątków ziemskich, na których zwierzostan jest niezły, a które przeszły na własność Banku Rolnego, Banku Gospodarstwa Krajowego, Banku Wileńskiego, czy też kompleksów leśnych, stanowiących objekty w zarządzie lasów państwowych. Mojem zdaniem, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie powinien wziąć w swoje ręce sprawę organizacji polowań dla gości zagranicznych. Ustalenie warunków odstrzału zwierzyny i porozumienie się z właścicielami wspomnianych terenów nie powinno nastręczyć wielkich trudności. Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie powinien wyznaczyć Komisję stałą, która powinna pozostawać w ścisłym kontakcie z miejscowymi przedstawicielami danych kompleksów, aby wiedzieć czem dysponuje w danym sezonie.



Poleskie rojsty — Fot. M. Szczepański.

Z pośród członków Komisji powinni być wybrani ludzie wykwalifikowani, którzy już na terenach organizowaliby polowania. Wyobrażam sobie, że na wszystkich terenach polowania na wilki i rysie z fladrami powinny być oddane w ręce jednej osoby — mam na myśli uproszenie Maurycego hr. Potockiego — znakomitego znawcę w tym kierunku.

Panowie z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich powiedzą mi na to, że trzeba pieniędzy i pieniędzy. Niewątpliwie tak. Ale jeżeli Panowie ujmą tę rzecz w swoje ręce i dobrze zorganizują, o pieniądze kłopotu nie będzie, gdyż % jakiś od cen odstrzału powinien pokryć wszystkie koszty Komisji i jej członków.

Rozumiem sam, że początki są trudne, ale myślę, że czynniki miarodajne zrozumieją, jak ważnym czynnikiem dla państwa jest właściwa propaganda.

KAROL RADZIWIŁŁ.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU BIELSK PODLASKI.

Krzepcej jakoś chwyta się za pióro, jeśli w suitę elegij, opłakujących nadwątlone zdrowie tylu dziedzin gospodarczych, można wpleść coś na nieco weselszą nutę. I to gdzie? Na „biednem Podlasiu", w powiecie bielskim i to w gałęzi gospodarki łowieckiej, doniedawna tak bardzo zapoznawanej.

Nie będziemy powtarzać danych statystycznych, znanych już z bezpośrednich sprawozdań (Ł. P. Nr. 7 1934 r.), nadmieniamy tylko, że z ogólnej powierzchni powiatu, wynoszącej około pół miljona hektarów, posiadamy około 70% obszaru zarejestrowanego, jako obwody łowieckie. Jest to sukces, jakim pochwalić się mogą nieliczne zachodnie powiaty Polski.

Drugim momentem, godnym największego uznania, jest akcja tępienia kłusownictwa, podjęta z całą energją przez tutejsze władze administracji i bezpieczeństwa, przy poparciu finansowem Powiatowej Rady Łowieckiej. Słusznie jednak można

twierdzić, że punktem zwrotnym w mało skutecznej ongiś walce z kłusownictwem stał się, podany dwa lata temu do wiadomości w „Łowcu Pol.", okólnik starosty p. Ż. Januszkiewicza, zobowiązujący sołtysów do składania z urzędu raportów o każdym zauważonym wypadku nielegalnego polowania. Jeśli dodać do tego, że delegaci gminni Pow. Rady Łowieckiej mają możność kontrolowania działalności sołtysów w tym kierunku, można sobie przedstawić efekt tego zarządzenia. Poprostu nóż w serce kłusownictwa!

Bo czyż można się było łudzić dawniej, że sołtys nie znał każdego kłusownika w swojej wsi, kiedy znało go każde dziecko? Toteż oczywiście znał każdego; znał każdą eskapadę kłusowniczą i jej rezultaty, ale — nawet przy dużej lojalności — milczał. Milczał, bo musiał: bał się zemsty, bał się utraty popularności, której zawdzięczał swój wybór.

Dziś, kiedy przybity do tablicy okólnik głosi, że urzędowym obowiązkiem sołtysa jest tępienie kłusownictwa, sołtys zaprosił przed plakat „panów myśliwych" i powiedział zapewne: „No, chłopci, byli czasy... ale się zbyli.. a teraz, uważajcie u mnie... a to płacz potem na samego siebie!" No i „chłopcy" zrozumieli, że może być nawet bieda, jeśli się który da schwytać z „zarażoną" lankastrą i dają potrochu spokój „ochocie", a i wnyków coraz mniej się plącze po „karczach", bo iść z zajączkiem pod połą do miasta także jakoś „obujętnie" — „liczyć, kontrol" wszędzie.

Urwało się kłusownikom. Tradycje starszych pielęgnują jeszcze nieletni zabawianiem się sidełkami na ptactwo, a przedewszystkiem intensywnem odżywianiem się jajami kaczemi. Cóż robić z nimi? Element słabo uchwytny, nauki szkolne jakoś im apetytu, przyrodzonego temu wiekowi, nie psują, a na „objawienie", które spłynąć na nich powinno w postaci bata rodzicielskiego, długo jeszcze czekać będzie trzeba.

Był dopust Boski, któremu zawdzięcza żywot cały legjon płowego narodu.. Wścieklizna — najurzędowiej stwierdzona. Oby oszczędzała tylko nasze „Bekasy", „Rexy" i „Azy".

Były kiedyś dobre lata lęgowe, były gorsze — a zwierzyny było coraz mniej i mniej. W powiecie było kilkunastu myśliwych, dziś ich jest paruset.

Nie chcemy utartym (niestety) zwyczajem podawać rezultatów poszczególnych polowań z wymienieniem uczestników, bo jakże obojętne są dla sprawy łowiectwa nazwiska ludzi, umiejących strzelać — pominiemy nawet „królów", podamy natomiast rezultaty gospodarki w pewnych łowiskach z wymienieniem tych myśliwych, którzy swym trudem i kieszenią do podniesienia stanu ich wartości gospodarczo-łowieckiej się przyczynili.

Pionierem łowiectwa na terenie tutejszym jest Bielskie Tow. Racjonalnego Polowania pod długoletnią prezesurą p. Stanisława Jaworskiego. Towarzystwo to ma tę dużą zasługę, że pierwsze przygarnęło do swego łona dziko i rozmaicie praktykujących myśliwych i stworzyło z nich kadrę z dobrze wpojonemi zasadami etyki myśliwskiej.

Towarzystwo utrzymuje straż łowiecką i objęło swą pieczą przestrzeń obwodów łowieckich, wynoszącą około 8000 ha., a rezultatem tej opieki są wcale piękne już dziś pokoty.

Opolowano około 75% terenu przy udziale 8 strzelb. Przeciętnie na lufę wypadało 5 zajęcy i około 20 kuropatw na jedno polowanie. Zaniechano prawie polowania w kotły, zastępując je pędzeniami, co ułaskawia około 60% widzianej zwierzyny. „A zwierzyna wdzięczna za to" jak mówi poeta, o ileż chętniej i liczniej będzie w przyszłości podbiegała do linji myśliwych!

Drugim największym ośrodkiem racjonalnej gospodarki łowieckiej są tereny, scalone w ręku p. Henryka Messinga z Bystrych, o powierzchni około 16000 ha. Łowisko różnorodne bardzo co do oblicza terenu, w znacznej części składające się z lasów, zarośli, wód bieżących i łąk, obfitujące w liczne stada cietrzewi, kaczek i kuropatw. Przy bardzo oględnej eksploatacji daje ono pokot kilkunastu cietrzewi z tokowiska, paruset kaczek, kilkuset kuropatw. Łowisko to dawało na kilkodniowem polowaniu zimowem jeszcze kilka lat temu, rozkład dwudziestu paru zajęcy; w tym roku, pomimo przykrej pogody — 2 kozły, 2 cietrzewie, 7 lisów i 334 zające. Jeszcze w zeszłym roku osiągnięto na tym terenie przy tej samej ilości, t. j. 8—10 strzelb, 2 lisy i 153 zające.

Przekonywająca jest chyba wymowa tych cyfr i jakże pięknie świadczą one o pracy hodowcy.

Trzecim — już własnym obwodem łowieckim są dobra Rudka, p. Franciszka Potockiego, o powierzchni 6000 ha lasów, gdzie na dwu polowaniach zimowych ubito 6 dzików, 1 wilka, 14 lisów, 5 rogaczy i 45 zajęcy.

Nie brak i innych łowisk, gdzie dzienny rozkład przekracza już setkę szaraków.

Myśliwi nasi sygnalizują znaczny przyrost przepiórek, które dwa lata temu były jeszcze rarytasem. Dziś prawie na każdem kuropatwiem polowaniu zdobywa się ich po kilka sztuk, nie dbając zbytnio na ich żywot. Topnieją zato — prawie w oczach — dubelty i kszyki, niegdyś bardzo liczne w tych stronach. z kaczkami jest też słabiej na wodach bieżących i błotach, trzymają się one jeszcze stawów rybnych, jako najbezpieczniejszych lęgowisk. Ptactwo błotne i wodne wypiera systematycznie kultura rolna, meljoracje odwadniające i regulacja rzek. Trudno, trzeba będzie pożegnać się z tem najmilszem polowaniem, choć serce płacze.

Na zakończenie i na okrasę tego sprawozdania dodamy coś.. z „łaciny".

Otóż w lasach rudzkich otropiono i osznurowano wilka.

Krzątanina, telefony — myśliwi porozrzucani na stanowiskach — gon — wilk wychodzi — grzmi poryweczy strzał — wilk farbując poszedł.

(Padł w dwa dni potem w sąsiednich lasach, dokładniej poczęstowany).

Zrozumiałe podniecenie u myśliwych, szczególnie u „szczęściarza", szukającego coraz to bardziej przekonywających tłomaczeń faktu, który „zaistniał" — aż tu naganka wynosi świeżutko zarżniętego lisa, ledwie napoczętego.

W kilka dni później jest drugi wilk. Siedzi w sznurach 3 godziny. Inscenizacja ta sama — rezultat trochę inny, bo wilk rulują w ogniu. Naganka wychodzi — i cóż przedstawia zdumionym oczom widzów? Zajączka — „prosto z pieca", jeszcze ciepłego.

Tak, tak, czytelnicy mili, wilk znudził się widocznie deptaniną w sznurach i postanowił sobie jeszcze raz przed śmiercią zapolować — no i zapolował. I dziwić się tu kłusownikowi. Charakter ten sam, pasja ta sama, a odpowiedzialność? No, „umówmy się"... jednak nie ta sama.

W. KROGULSKI i ST. JAWORSKI.
Delegaci P. Z. S. Ł. na powiat Bielsk Podlaski.

KUROPATWY A SIANOKOSY.

Tegoroczne sianokosy będą opóźnione. Jest to wynikiem spóźnionej wiosny, której długotrwałe chłody opóźniły niezmiernie wegetację roślinności. Niewątpliwie, w łączności z brakiem dostatecznego pokrycia ziemi przez trawy, koniczyny i t. p. lęgi ptactwa łownego ulegną również opóźnieniu.

To daje jeszcze dziś możność zatroszczenia się o przyszłość gniazd kuropatw, które w wielu wypadkach wolą je słać nie w oziminach, lecz właśnie w trawach, koniczynach, seradelach mieszankach.

W „Łowcu Polskim" pisało się o tem już wiele. Uważam, że na czasie będzie jeszcze przypomnienie właścicielom łowisk, którzy z własnej obserwacji nie przekonali się o tem dostatecznie, że w przeważnej większości wypadków, nawet przy obkaszaniu na łące lub w koniczynie gniazda kuropatwy, jeśli nawet starka nie opuści go sama, wyląg z takiego gniazda należy uważać za przepadły, bowiem do takich miejsc łatwiej trafiają wszystkie szkodniki, czyhające bądź na starego ptaka, bądź na jaja w gnieździe.

P. H. Rudzki („Łowiec Polski" Nr. 17 z dnia 10 czerwca 1934 roku) zaleca wybieranie jaj ze znalezionych przy koszeniu gniazd i wylęganie ich pod kurami. Po wylęgnięciu autor wynosi kurę z pisklętami po 24 godzinach (karmiąc pisklęta tylko przez owe 24 godziny, jak indyczęta, żółtkiem jaj z domieszką krwawnika; pozatem dając im do dziobania świeżą murawę) w pole, w pobliże ogrodu, puszczając swobodnie w zboże lub łąkę. Kury świetnie wychowują młode kuropatewki, opiekując się niemi znakomicie aż do okresu fruwania młodych, poczem te ostatnie oddzielają się od swych opiekunek, lecz pozostają przez całą jesień i zimę w pobliżu ogrodu.

Jest to wypróbowany przez p. Rudzkiego sposób, zapomocą którego uratować można jednak tylko część mogących iść na przepadłe kuropatw, których gniazda zostały odkryte przed zniszczeniem ich przez kosę ręczną lub kosiarki. Duży procent, często wraz ze starkami, ginie pod zbierającą plon trawy kosą.

Żeby temu zapobiedz, pozostaje tylko jeden sposób, mianowicie przeszkodzenia kuropatwom w zakładaniu gniazd w trawach, koniczynach i t. p. W tym celu należy pola takie, jak i łąki, przeszukiwać codziennie z wyżłem, spędzając stamtąd starki, które, codzień płoszone, z konieczności wyniosą się na gniazdowanie do zbóż ozimych.

System ten, w swej prostocie nadzwyczaj łatwy, okazał się nieraz praktycznym, wymaga jedynie zamiłowania do sprawy, posiadł więc już szereg zwolenników, którzy nietylko sami go stosują z dobrym wynikiem, lecz rokrocznie przypominają innym bezpośrednio, lub zwracając się z apelem o to do pism łowieckich.

Wyręczam ich chęci i intencje, mając nadzieję, że przypomnienie o tem dziś nie jest jeszcze całkowicie spóźnione w bieżącym roku, przynajmniej dla najpóźniej zakładanych gniazd, jakich corocznie jednak zdarza się sporo.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

POLSKIE ŁOWIECTWO NA WYSTAWIE W BRUKSELI.

Jak wiadomo, w dn. 27 kwietnia b. r. otwartą została wszechświatowa wystawa w stolicy Belgji. Wśród innych narodów świata, przyjmujących udział w tej wystawie, Polska jest reprezentowana możliwie wszechstronnie pod względem swej wytwórczości gospodarczej i intelektualnej i posiada tam swój osobny pawilon.

Komitet organizacyjny polskiego pawilonu w Brukseli zatroszczył się i o to, ażeby w liczbie działów reprezentowane było również nasze łowiectwo i w tym celu zaprosił do zorganizowania tego działu znanego myśliwego i organizatora krajowych pokazów trofeów łowieckich w Warszawie, p. inż. Hermana Knothego.

Protektorat nad działem łowieckim przyjął prezes Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, p. gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski.

Inżynier Knothe, jako doświadczony organizator wystaw łowieckich, mógł jak najlepiej odpowiedzieć przyjętemu na się zadaniu, co potwierdzają zresztą liczne recenzje o dziale polskiego łowiectwa na brukselskiej wystawie, zamieszczone w pismach zagranicznych. Doświadczenie p. inż. Knothego wskazało mu przedewszystkiem na zachowanie w danym wypadku tego bardzo ważnego warunku, ażeby obesłać wystawę eksponatami trofeów w sposób bardzo wstrzemięźliwy, a jednocześnie nadzwyczaj trafny pod względem doboru i wartości poszczególnych trofeów. I to mu się całkowicie udało, dzięki zrozumieniu przez poszczególnych myśliwych, właścicieli najcenniejszych polskich trofeów, wagi momentu propagandowego, jaki przez wystawienie polskich trofeów myśliwskich w Brukseli, nasuwa się do wykorzystania.

Oto jaki materjał okazowy został na wystawę wysłany. Dla zilustrowania retrospektywnej miary polskiego łowiectwa, a zarazem dla podkreślenia obecnych hodowlanych zamierzeń i wysiłków wystawę w Brukseli ozdobił żubr białowieski (całe zwierzę), użyczony przez państwowe muzeum w Białowieży.

W dziale wieńców jelenich zostało przez p. inż. Knothego wybrane ze zbiorów spalskich 6 par, pochodzących z miejscowego w tych lasach odstrzału, a użyczonych przez Rezydencję Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Łopaty łosie dał p. Stefan Steinhagen, zdobyte przez niego w jesieni 1933 r., a będące rekordem Polski.

Porostki sarnie dał p. inż. H. Knothe ze zbiorów trofeów własnych. Stanowią one również rekord Polski.

Szable dzicze pochodzą od Juljusza hr. Bielskiego (rekord Polski), oraz od Maurycego hr. Potockiego.

Z pośród skór drapieżników — skóry niedźwiedzia (z głową) użyczył p. gen. dyw. Kazimierz Fabrycy.

Niezwykle piękna skóra rysia (z głową) jest własnością łowczego Puszczy Białowieskiej p. S. Charczuna.

Skóra żbika (z głową) należy do Juljusza hr. Bielskiego i stanowi rekord wszechświatowy.

Skóra wilka (z głową) jest własnością p. W. Kiltynowicza.

Z ptaków wystawiono głuszca, cietrzewia, jarząbka i pardwę. Ta ostatnia jest własnością p. leśniczego Pustoły.

Wystawę ozdabia zbiór przepięknych fotografij łowieckich, artystycznie wykonanych i z talentem i zamiłowaniem zdobytych na terenie, których autorem jest p. Włodzimierz Korsak.

Wreszcie została włączona mapa statystyczna rozmieszczenia zwierzyny w lasach państwowych, wykonana z szeregu map, których autorem jest p. inż. Knothe, a przedstawiająca ich świetne połączenie na jednym wielkim kartonie.

Według opinji komitetu organizacyjnego, wyrażonej w liście z podziękowaniem p. inż. Knothemu za pracę przy skompletowaniu tak poważnych i wyjątkowych okazów polskich trofeów myśliwskich — co potwierdzają opinje poszczególnych organów prasy belgijskiej — dział łowiecki stanowi jedną z głównych atrakcyj pawilonu polskiego.

Dział łowiectwa mieści się w pierwszej sali pawilonu i ozdabia go poza właściwemi eksponatami pięknie pomyślana i artystycznie wykonana płaskorzeźba, przedstawiająca łowiectwo polskie, której autorem jest prof. Stanisław Rzecki.

Fotografję tej rzeźby, łaskawie nam użyczoną przez p. inż. Knothego, reprodukujemy na okładce niniejszego numeru.

Wł. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„WILD UND HUND".

Nr. 16/1935, str. 370. *„Łowiectwo Bawarji w liczbach"*. — Dr. J. Wagner ogłosił monografję, dotyczącą stanu łowiectwa w Bawarji w 1932 r. Ilość wykupionych kart łowieckich stanowiła 24.867, co w stosunku do zaludnienia daje 3.2 myśliwych na każde 1000 mieszkańców. Obwodów łowieckich wspólnych było 11.389 o ogólnym obszarze 6.158.995 ha, czyli średnio o obszarze 540.8 ha. Łowisk prywatnych własnych było 1608 o obszarze 384.590 ha, czyli średnio 239.9 ha. Wreszcie łowisk państwowych było 1112 o obszarze 967.088 ha, co daje średnio 2326 ha. Osobną grupę stanowią tereny łowieckie wodne, należące do 57 właścicieli, o ogólnym obszarze 4979 ha. Z tytułu dzierżawy terenów łowieckich zapłacono w 1932 r. 5.141.839 mk, co daje za 1 ha opłatę dzierżawną 0.84 mk. Średni okres trwania dzierżawy stanowi 6 lat.

Z tytułu odszkodowań za zniszczenia, spowodowane przez zwierzynę, wypłacono 128.489 mk. Straż łowiecka obejmowała 3073 osoby. Upolowano w ciągu roku sprawozdawczego: zwierzyny czworonożnej — 555.476 sztuk, ptactwa łownego — 423.133 sztuk, drapieżników — 61.256 sztuk, o wartości ogólnej 3.503.939 mk. Z upolowanej zwierzyny przypadło: na jelenie i łanie — 3.802, co na 10.000 ha stanowi 5 sztuk, na sarny — 83.585 (11 sztuk), zające — 452.617 (60 sztuk), bażanty — 98.173 (13 sztuk)), kuropatwy — 279.813 (37 sztuk).

Nr. 17/1935, str. 394. *„Do niemieckich myśliwych!"* — Wielki łowczy Rzeszy zwraca się do myśliwych z odezwą w sprawie uregulowania odstrzału zwierzyny płowej w r. b. Wobec pogorszenia jakościowego stanu tej zwierzyny w Niemczech, w. łowczy wzywa do ograniczenia odstrzału wyłącznie do egzemplarzy byków, kozłów, których wygląd ogólny oraz stan poroża wskazuje na słabość kompleksji, chorobę lub degenerację, aby w ten sposób zachować dla rozplodu osobniki mocne i zdrowe. Tam, gdzie duża ilość kozłów mocnych uprawnia do wzmożonego odstrzału, może być on dozwolony dopiero po okresie rui. Szczególną uwagę należy przytem zwrócić na odstrzał łań i kóz, aby we wszystkich łowiskach doprowadzić ilostan ich do normalnego stosunku płci.

Nr. 17/1935, str. 281. Pirwitz. *„Funkcjonarjusze urzędów karnych jako rzeczoznawcy w zwalczaniu kłusownictwa"*.—Prezes Saskiego Urzędu Karnego, dr. Palitzsch, działając w porozumieniu z łowczym krajowym i z miejscową dyrekcją leśną, postanowił, celem systematycznego zwalczania przestępstw przeciwko ustawie łowieckiej na terenie Saksonji, rozpocząć specjalizowanie pewnej ilości funkcjonarjuszów Urzędu Karnego w tym właśnie zakresie. Pobudką do przedsięwzięcia tego zarządzenia były coraz częstsze wypadki nietylko kradzieży zwierzyny, ale i inne czyny występne natury kryminalnej, dokonywane przez coraz bardziej rozzuchwalone kłusownictwo. Wyspecjalizowanym funkcjonarjuszom Urzędu Karnego będą przydzielone poszczególne okręgi Saksonji, zaś według instrukcji prezesa

Urzędu charakter działalności ich w zakresie wykroczeń przeciwko prawu łowieckiemu będzie odmienny, w zależności od następujących warunków. W tych wypadkach, gdy kłusownik jest przyłapany na gorącym uczynku, albo też ujawnione są wyraźne ślady przestępstwa, umożliwiające jego wykrycie, powinny władze leśne, urzędy łowieckie lub poszkodowany zwrócić się do miejscowej władzy administracyjno karnej, względnie żandarmerji, a równocześnie powiadomić o tem odnośnego specjalistę Urzędu Karnego. Czynność władzy administracyjnej i żandarmerji ograniczać się winna jednak tylko do przedsiębrania takich środków, które zapobiegają ucieczce sprawcy przestępstwa, zmierzają do zachowania śladów, ujawnienia świadków lub zabezpieczenia miejsca przestępstwa. Dalsze ich czynności uzależnione być winny od orzeczenia specjalisty Urzędu Karnego. Inaczej się postępuje, gdy stwierdzonym jest jedynie fakt kłusownictwa w pewnym okręgu, bez możności ustalenia narazie winnych. W tym wypadku władze leśne, urzędy łowieckie, lub bezpośrednio poszkodowany powinni powiadomić o tem Urząd Karny celem wydelegowania specjalisty do spraw łowieckich, a równocześnie wypełnić osobny kwestjonarjusz z podaniem odpowiedzi na następujące pytania: a) rodzaj broni, z której ubito zwierzynę, b) czy znaleziono łuski od nabojów, przyczem w wypadku twierdzącym zaliczyć je do kwestjonarjusza celem poddania badaniom daktyloskopijnym, c) czy nie łowiono zwierzyny w żelaza, potrzaski, wnyki czy sieci, lub przy pomocy psów czy fretek, d) czy nie pada podejrzenie czynów na znanego już kłusownika, w razie przeciwnym — czy zabezpieczono ślady (odciski) palców, rąk, nóg, kolan, względnie ślady kół, płóz, roweru i t. p. W tej samej instrukcji prezes Saskiego Urzędu Karnego zwraca uwagę podległych mu organów na obowiązek ujawnienia również winnych czynienia szkód w zwierzynie przez niedozorowane psy i koty oraz przez nieostrożną jazdę samochodową.

„DEUTSCHE JAGD".

Nr. 4/1935, str. 88. E. Franz. „*Cietrzew i patent Rzeszy*". — Autor, fachowy leśniczy, opisuje wynalezioną przez niego, a skonstruowaną przez fabrykę Malz i Sp. w Wierzbach, przenośną budkę dla tokowisk cietrzewich. Składa się ona z aluminiowych prętów, tworzących szkielet czworobocznej budki, której ściany oraz daszek obciągnięte są płótnem. Myśliwy, umieszczony w budce, chroniony jest od wiatru i deszczu i może przez otwory w ścianach widzieć i strzelać do cietrzewi. Dzięki specjalnemu urządzeniu, budka może być przenoszona z miejsca na miejsce bez potrzeby wychodzenia z niej myśliwego, co ma znaczenie w razie oddalenia toku cietrzewi od miejsca pierwotnego ustawienia budki.

Nr. 4, str. 94. Menrad. „*Szczekanie słonek*". — Autor opisuje ciekawy wypadek, zaobserwowany przezeń osobiście, potwierdzający zdanie o tem, że słonka w pewnych wypadkach wydaje obok chrapania i gwizdu także głos podobny do szczekania. Autor stał pewnego wieczora na ciągu słonek w Szwabji. W pewnej chwili usłyszał dość donośne szczekanie, które przypisał początkowo goniącemu psu. Głos zbliżał się jednak bardzo szybko, a wkrótce nadciągnęły 3 słonki, z których lecąca na przedzie wydawała właśnie ten odgłos szczekania. Następnego wieczora powtórzyło się to samo zjawisko: przeciągnęły znowu trzy słonki, z których pierwsza „szczekała" co pewien czas, jak to bywa z chrapaniem, a dwie pozostałe milczały. Trzeciego wieczora zaintrygowany obserwator był znowu świadkiem ciągu tej samej trójki słonek, tym razem jednak bez głosu, co przypisuje on znacznemu ochłodzeniu temperatury. Natomiast słonki rozpoczęły w powietrzu jakby bójkę, raptownie obniżając lot. Autor, zaciekawiony zjawiskiem, nie strzelał, ale już wkrótce przeczytał w miejscowem piśmie wiadomość o „szczęśliwym" myśliwym, który jednym strzałem ubił trzy słonki. Były to zapewne te same „szczekające" słonki.

J. G.

Z DZIAŁALNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ.

(—*zet*—) Międzynarodowa Rada Łowiecka (C. I. C.) komunikuje nam, że Stała Komisja Ornitologiczna Rady zbierze się w bieżącym roku na dwudniowe obrady w Brukseli, w Pałacu Akademji (11 i 12 czerwca).

Na sesji tej będzie reprezentowane z pośród należących do Rady 20 narodów, wobec czego obrady zapowiadają się bardzo interesująco.

Pośród referatów, złożonych sekretarjatowi Rady, a zgłoszonych na sesję Komisji Ornitologicznej wypada wymienić następujące ciekawe tematy:

Aktywność Komisji — p. Maxime Ducrocq, Prezes Rady; Międzynarodowa ochrona przepiórki — hr. d'Adix, sekretarz generalny Rady; Ujednostajnienie przepisów o polowaniach — p. de Boislambert; Zagadnienia zwierzyny łownej w Stanach Zjednoczonych A. P. — p. dr. Pearson, prezes Międzynarodowego Komitetu Ochrony Ptaków; Zakażanie wód morskich przez kwas węglowy—hr. d'Adix; Wyłączenie armatek (kanardjerek) i sideł — p. O. Leschevin, wiceprezes Rady Naczelnej Łowiectwa w Belgji; Prawda o ekspedycjach ornitologicznych na morzach południowych — p. Chapmann; Środki ochronne w stosunku do przelotnych ptaków łownych w Danji — p. O. de Vind, W. Łowczy Królewski; Konferencja krajów północnych i ochrona zwierzyny — p. L. Ternier; Drugi referat o kuropatwie „roquette" — p Lilette; Ochrona słonki na Węgrzech— p. de Hullan; Ujednostajnienie przepisów o handlu jajami ptaków przelotnych etc.

Po raz pierwszy uczestniczyć będą w sesji Komisji Ornitologicznej M. R. Ł. przedstawiciele Szwecji (Lonnberg i von Seth) i Stanów Ziednoczonych A. P. (Pearson).

Obradom przewodniczyć będzie prezes M. R. Ł. p M. Ducrocq.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) W lesie Podborek pod Pleszewem oddawna już grasowali kłusownicy, aby więc ich wykryć, udał się leśniczy Stanisław Mędrzak wraz z polowym Rynowickim do lasu na kontrolę. W czasie obchodu natknęli się na kłusowników, którzy, zobaczywszy ich, poczęli strzelać. Jedna z kul ugodziła w serce Mędrzaka, który zmarł w drodze do szpitala.

Policja rozpoczęła energiczne dochodzenie, w wyniku którego następnego już dnia po dokonaniu zbrodni zabójcy zostali ujęci. Są to Józef Kwaśkiewicz z Brzezin i Stanisław Grzesiak z Rokutowa, znani kłusownicy i awanturnicy. Jako materjał dowodowy do wykrycia zbrodniarzy posłużyły znalezione na miejscu zabójstwa łuski, które okazały się identycznemi z nabojami, znalezionemi u kłusowników w chwili ich aresztowania.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Wykaz ubitej zwierzyny na terenach Czarny Las i dzierżawionych (pow. Lubliniec woj. śląskie) od 15.1.1934 do 15.1.1935.

Rogacze	Zające	Króliki	Bażanty	Kuropatwy	Cietrzewie	Słonki	Przepiórki	Gołębie	Razem	Uwagi
1	132	81	316	364	4	2	2	4	906	Polowań zimowych na zające nie było, celem podniesienia zwierzostanu. Wpuszczono dla odświeżenia krwi 16 sztuk zajęcy.
								Drapieżników	316	
								Ogółem	1.222	

Wykaz zabitych drapieżników (tamże) od 15.1.34 do 15.35.

Lisy	Borsuki	Tchórze	Kuny	Łasice	Psy	Koty	Jastrzębie	Wrony	Sroki	Razem	Uwagi
3	2	15	1	58	30	35	101	57	8	316	Obserwowano duży nalot jastrzębi. Ukarano 11 kłusowników. Wypłacono strzałowego 1.028.— zł.

R. ROGOWSKI.

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA są do nabycia w administracji i z ustępstwem 15% rabatu dla prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO“:

1. **Bażant łowny** — C. Cronau . . . zł. 3.—
2. **Choroby zwierzyny łownej** — Inż. Leona Ossowskiego . . . . zł. 2.—
3. **Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie** H. Downar-Zapolskiego . . . . zł. 2.—
4. **Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra** d-ra K. Wróblewskiego zł. 4.60
5. **Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju** — F. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtla zł. 2.—
6. **Estetyka łowiectwa** — Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 2.—
7. **Św. Eustachy** — Wł. Janty-Połczyńskiego . zł. 3.—
8. **Głuszec** — Monografja Bolesława Świętorzeckiego zł. 2.40
9. **Hodowca a myśliwy** Ernestra br. Sylva Tarouca zł. 3.—
10. **Hodowla bażantów** — dyr. Henryka Kemmera zł. 3.—
11. **Humor i łacina myśliwska** J. Wł. Kobylańskiego zł. 1.50
12. **Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie**—J. Wł. Kobylańskiego zł. 3.—
13. **Jak unikać wypadków z bronią** — J. Sztolcmana . . . . zł. 0.25
14 **Jarząbek**— Monografja Ottona Pereświet-Sołtana zł. 1.—
15. **Kalendarz Myśliwski** —na 1931, 1932 i 1933 rok po zł. 2.—
16. **Kalendarz Myśliwski** — na 1934 rok wyczerpany
17. **Kalendarz Myśliwski na rok 1935** . . zł. 3.—
18. **Karczma pod wilkiem** —Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 1.50
19. **Krajobrazy i polowania w Polsce** — Pierre Coche'a . . . . zł. 6.50
20. **Krótki praktyczny podręcznik tresury psa myśliwskiego** — K. Zarubina . . . zł. 2.—
21. **Kruk** — Monografja K. br. Wodzickiego . . zł. 4.50
22. **Lis** — Monografja Jerzego Dylewskiego . . zł. 3.—
23. **Myślistwo z ogary** — Jana hr. Ostroroga zł. 1.50
24. **Myślistwo w Panu Tadeuszu** — M. Mniszka Tchorznickiego . . . . zł. 0.30
25. **Nad Nilem niebieskim** — Jana Sztolcmana zł. 6.—
26. **Nasze psy** — St. Błockiego (bez rabatu) . zł. 7.—
27. **Nasze skrzydlate drapieżniki**— Monografja Wł. Gürtlera . . . . zł. 2.30
28. **Ocena trofeów myśliwskich** — Inż. H. Knothego . . . . zł. 0.30
29. **Określanie wieku sarn**. Inż. L. Ossowskiego zł. 0.40
30. **O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie** — J. Wł. Kobylańskiego. . . . . zł. 1.50
31. **O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie Katowicach Krakowie i Lesznie** — J. Wł. Kobylańskiego . . . . zł. 1.—
32. **O łosiu**—J. Wł. Kobylańskiego. . . . . zł. 2.—
33. **Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt** — d-ra Wł. Polińskiego — zeszyt I — 1.40, zeszyt II—zł. 2.50, zeszyt III—zł. 1.20 zeszyt IV—zł. 0.50, zeszyt V—zł. 1.—, zeszyt VI—zł. 2.— zeszyt VII—zł. 2.— . . . komplet zł. 10.60
34. **Przepisy: O broni, amunicji i materjałach wybuchowych; łowieckie**—H. Maletza zł. 2.50
35. **Polująca pani**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.50
36. **Ramoty myśliwskie** Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
37. **Skowronek**—K. br. Wodzickiego . . zł. 3.60
38. **Tablice ścienne** do określania ptaków drapieżnych i krukowatych — J. Sztolcmana . . . zł. 0.50
39. **Szczęśliwe dni**. Stefana hr. Badeniego (bez rab.) zł. 18.—
40. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku** — Inż. T. Śliwińskiego . . . . zł. 1—
41. **Wabienie wilków**—Ottona Pereświet.-Sołtana zł. 0.75
42. **W polu w lesie**—Wł. Gürtlera . . zł. 1.—
43. **W stepach i puszczach** Wł. Czerniejewskiego zł. 1.—
44. **Wycenianie trofeów myśliwskich** A. Dyk'a . . . zł. 1.50
45. **Z psami**—St. Z. . . . . zł. 1.—
46. **Żubr**. Historja, obycz. i przyszłość—J. Sztolcmana zł. 3.30
47. **Żywienie jeleni i sarn** d-ra Maxa Neumeistera zł. 1.20

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) dolicza się zł. 1.—
Za zaliczeniem pocztowem — najmniejsza dopłata zł. 1.50

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowy w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15